

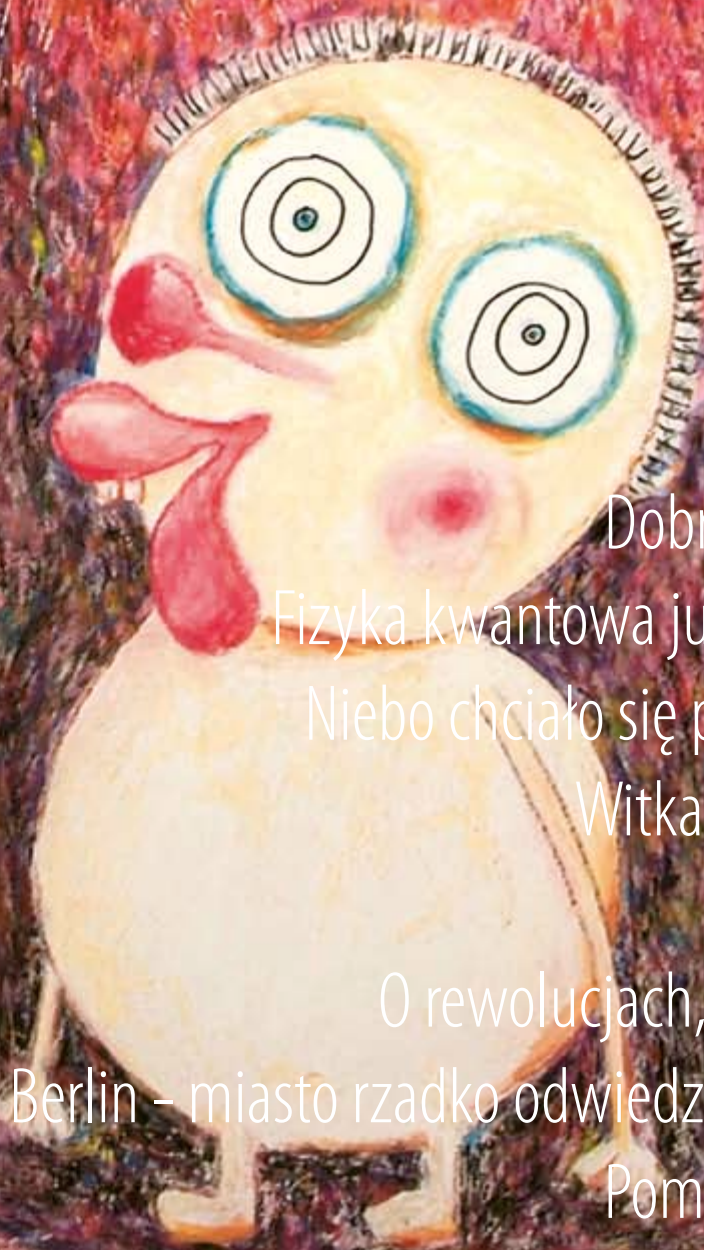


Powiat



Nr 3-4 (145-146), Marzec-Kwiecień 2013
Rok XIII * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI



Dobry Polski Samorząd
Fizyka kwantowa już od podstawówki
Niebo chciało się połączyć z morzem
Witkacłodzy w Słupsku
Ten od „siu bździu”
O rewolucjach, imidżu i artystach
Berlin – miasto rzadko odwiedzane przez Polaków
Pomorskie Święte Góry
Wieś Tworząca



VI PRZEGLĄD KABARETÓW WSZELAKICH „OBCIACH”

KOBYLNICZANKA, KWIECIEŃ 2013



Droży Czytelnicy!

Chciałbym zachęcić tegorocznych absolwentów gimnazjów do wybrania do dalszej nauki szkół ponadgimnazjalnych prowadzonych przez powiat słupski. Właśnie ukazał się najnowszy Informator Oświatowy, w którym szczegółowo piszemy

o zaletach kształcenia w naszych szkołach. Zachęcam do sięgnięcia po ten informator, będzie on dostępny w każdym gimnazjum, na naszej stronie internetowej i w Wydziale Polityki Społecznej w starostwie.

W porównaniu ze Słupskiem nie mamy w powiecie wielu szkół. Nie licząc Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Ustce i Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Damnicy (ich ofertę na nowy rok szkolny też przedstawiamy w Informatorze) prowadzimy Zespół Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku i Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce. Oba są doskonale przygotowane do przyjęcia gimnazjalistów. Popularny „rolniczak” jest jedną z najczęściej wybieranych przez młodzież szkół, spośród wszystkich oferujących kształcenie zawodowe. W przeszło trzydziestu oddziałach uczy się tu blisko tysiąc młodych ludzi! Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce jest placówką, w której stworzone zostały jeszcze lepsze warunki do nauki, ale nieznaczne oddalenie tej szkoły od Słupska i nie zawsze zapewniony dogodny dojazd, zwłaszcza z miejscowości powiatu, powoduje, że ta świetnie przygotowana do pracy z młodzieżą szkoła zupełnie niezasłużenie przegrywa rywalizację o uczniów.

Dlatego przy lekturze naszego Informatora zachęcam szczególnie do wnikliwego zapoznania się z ofertą edukacyjną usteckiego Zespołu. Ja przy wyborze tej szkoły nie miałbym żadnych wątpliwości. Nie miałbym ich też przy wyborze dla dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Damnicy, który, choć nieco też oddalony od Słupska, zapewnia dzieciom pomoc specjalistyczną i edukację na najwyższym poziomie. Wspólnie z gminami rozwiązuje problem dowozu dzieci, dysponuje też własnym internatem. Również Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii w Ustce, przeznaczony dla młodzieży niedostosowanej społecznie, jest placówką osiągającą bardzo dobre efekty w swojej pracy. Placówka ta potrafi zmieniać młodzież na lepszą. Jest to naprawdę bardzo dobry ośrodek! Szkoda, że warunki lokalowe nie pozwalają na zwiększenie w nim liczby miejsc.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarz-Zych** (przewodniczący), **Maria Matuszewska** (z-ca przewodniczącego), **Artur Wróblewski**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, faks 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.słupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: **PASAŻ** Sp. z o.o., ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków. Na okładkach: Fragmenty prac Tomasza Popławskiego ze Skórzyna.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.słupsk.pl

W numerze:

- Pod znakiem sprawozdań 4
- „Kaziuczek Niemenczyński” zbliża do współpracy..... 4
- Dobry Polski Samorząd 5
- Na „Obciachu” bez... obciachu!..... 6
- Brawa, radość i śpiew 6
- Sportowi stypendyści 7
- Fizyka kwantowa już od podstawówki 8
- Trzeba wybierać..... 10
- Ferie w domu 11
- Trafiłam do muzeum 12
- Tylko koni żal..... 12
- Płynął jak Odyseusz 14
- Będzie możliwy rozwój..... 15
- Niebo chciało się połączyć z morzem ... 16
- Z miłości do wiatru 16
- Na kutrze 17
- Ryba wiatrem gnana 18
- Witkacłodzy w Słupsku 19
- Pomorskie świętowanie nie tylko w Jezierzycach..... 20
- Więcej niż świadectwo historii..... 23
- Długi zapis niezwyklej lekcji... nauczania ... 24
- Klinika książek..... 24
- Niezwykły dzień w roku 26
- Drzewa też umierają..... 27
- Ten od „siu bǳiu” 28
- Coś dla fanów wędrówek po regionie... 31
- O rewolucjach, imidżu i artystach..... 32
- Kuchenne rewolucje..... 34
- Berlin - miasto rzadko odwiedzane przez Polaków 36
- Pomorskie Święte Góry 39
- Najcenniejszy łup rajdera 42

Pod znakiem sprawozdań

W interpelacjach radni interweniowali w sprawie złej jakości wielu powiatowych dróg i pytali, kiedy zostaną one naprawione. Wskazywali konkretne odcinki wymagające natychmiastowych napraw.

Po złożeniu przez starostę słupskiego Sławomira Ziemianowicza sprawozdania z prac Zarządu Powiatu i wykonania podjętych na poprzedniej sesji uchwał, radni przyjęli informację Powiatowego Lekarza Weterynarii o stanie sanitarno-weterynaryjnym powiatu w 2012 roku oraz informację Państwowego Powiatowego Inspektora Sanitarnego o stanie bezpieczeństwa sanitarnego w powiecie słupskim w 2012 roku.

Radni przyjęli też sprawozdania: z działalności w 2012 roku Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Słupsku, z realizacji Programu działań na rzecz osób niepełnosprawnych na lata 2007-2012, z realizacji zadań finansowanych ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, z realizacji zadań dotyczących rehabilitacji zawodowej i społecznej oraz zatrudnienia osób niepełnosprawnych w 2012 roku. Zapoznali się ze sprawozdaniem z realizacji w 2012 roku Programu promocji zatrudnienia oraz aktywizacji lokalnego rynku pracy na lata 2007-2013, sprawozdaniem z realizacji założeń Planu Rozwoju Lokalnego Powiatu Słupskiego wraz z Wieloletnim Planem Inwestycyjnym do 2013 roku, z realizacji Programu współpracy powiatu słupskiego z organizacjami pozarządowymi w 2012 roku, z realizacji Programu opieki nad zabyt-

Sprawozdania i stan dróg powiatowych w powiecie słupskim były głównymi tematami XXIV sesji Rady Powiatu Słupskiego, 16 kwietnia br.



Fot. D. Wojtas

kami powiatu słupskiego na lata 2009-2012 oraz z funkcjonowania procedury konsultacji społecznych z mieszkańcami powiatu i oceną zasobów pomocy społecznej w 2012 roku.

Następnie przystąpiono do omawiania przygotowanych projektów uchwał. W sumie radni podjęli osiemnaście uchwał,

m.in. w sprawie: określenia zadań, na które przeznaczone zostaną w bieżącym roku środki Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych; zmiany uchwały nr XLIII/252/2006 Rady Powiatu Słupskiego z 26 września 2006 roku w sprawie przyjęcia Planu Rozwoju Lokalnego Powiatu Słupskiego; uchwalenia programu

„Kaziuczek Niemenczyńs

Kolejna edycja Kiermaszu Kaziukowego w Niemenczyńsku nie była okazją do wizyty delegacji powiatu słupskiego w rejonie wileńskim

Fot. M. Matuszewska



Jarmark, organizowany przez samorząd rejonu wileńskiego i gminę Niemenczyn, odbył się 9 marca br. w samym centrum miasteczka, przy ulicy Świeciańskiej. Na zaproszenie starosty Niemenczyna Mieczysława Borusewicza wzięli w nim udział członkowie Zarządu Powiatu Słupskiego z wicestarostą słupskim Andrzejem Burym. Po oficjalnym rozpoczęciu XXIV „Kaziuczka Niemenczyńskiego”, wyjąt-

działań na rzecz osób niepełnosprawnych w powiecie słupskim na lata 2013-2015; zmiany uchwały Nr XV/139/2012 Rady Powiatu Słupskiego z 27 marca 2012 roku w sprawie określenia szczegółowych warunków umorzenia w całości lub w części, łącznie z odsetkami, odroczenia terminu płatności, rozłożenia na raty lub odstąpienia od ustalenia opłaty za pobyt dziecka w rodzinnej lub instytucjonalnej pieczy zastępczej.

Radni podjęli też uchwały w sprawie: przystąpienia powiatu słupskiego do realizacji partnerskiego projektu pn. „Ośrodek Wsparcia Ekonomii Społecznej”, ustalenia

wysokości stawek opłat za zajęcie jednego metra kwadratowego pasa drogowego dróg powiatowych, przyjęcia przez powiat słupski pomocy finansowej na remonty dróg powiatowych od gmin: Damnica, Główny, Kobylnica, Kępice, Potęgowo, Słupsk i Ustka. Remontowane mają być m.in. drogi: nr 1140G w miejscowości Łebień i Bobrowniki, nr 1143G Warblino-Stowięcino, nr 1158G do miejscowości Lulemino, nr 1148G do miejscowości Chorowo, nr 1188G Darżyno-Grąbkowo, nr 1015G Brusko-Małe-Krzemienica, a także niektóre odcinki dróg w gminie Ustka.

Kolejnymi uchwałami zdecydowano o udziale powiatu słupskiego w zakupie dwóch quadów dla Komendy Miejskiej Policji w Słupsku oraz wypowiedzeniu porozumienia dotyczącego współdziałania w realizacji programu „Sprawna administracja geodezyjna i kartograficzna”, dokonano zmian w budżecie powiatu i wieloletniej prognozie finansowej.

Urszula Falba, Słupsk

Dobry Polski Samorząd

Tytuły te przyznaje Związek Powiatów Polskich, a powiat słupski zwyciężył w kategorii powiatów do 120 tysięcy mieszkańców. Spotkanie laureatów odbyło się 8 i 9 kwietnia br. w Wiśle podczas XVI Zgromadzenia Ogólnego Związku Powiatów Polskich. Powiat słupski reprezentował na nim również wicestarosta Andrzej Bury.

Obrazy Zgromadzenia rozpoczęły się panelem dyskusyjnym poświęconym ustrojowi i przyszłości samorządu. Dyskutowano o zmianie zasad funkcjonowania powiatowych urzędów pracy i perspektywie finansowej Unii Europejskiej na lata 2014 - 2020, a także o aktualnej sytuacji finansowej powiatów.

Wybór tematów nie był przypadkowy. W tym roku przypada 15-lecie istnienia powiatów i przygotowano istotne dokumenty dotyczące spraw ustrojowych - prezydencki projekt ustawy o współdziałaniu w samorządzie terytorialnym, raport z oceny sytuacji samorządów lokalnych oraz o stanie samorządności terytorialnej w Polsce. Zatytułowano go „Narastające dysfunkcje, zasadnicze dylematy, konieczne działania”.

Najprzyjemniejszym punktem tego rocznego spotkania było jednak wręczenie statuetek i dyplomów zdobywcom tytułów „Super Powiat” i „Dobry Polski Samorząd 2012”, uzyskanych w Ogólnopolskim Rankingu Powiatów i Gmin. **(D.W.)**



Fot. Związek Powiatów Polskich

Starosta Słupski Sławomir Ziemianowicz odebrał dyplom i statuetkę za zdobycie przez powiat słupski tytułów: „Super Powiat” i „Dobry Polski Samorząd 2012”

ki” zbliża do współpracy

kowo serdecznie powitano gości z powiatu słupskiego, którzy po zwiedzeniu stóisk z wyrobami twórców ludowych i rzemieślników oraz regionalnymi specjalami, obejrzeli występy artystyczne, a następnie udali się na oficjalne spotkanie z władzami Niemenczyna i rejonu wileńskiego. Jednym z głównych tematów rozmów było ustalenie daty podpisania umowy partnerskiej pomiędzy powiatem słupskim a Niemenczynem, którą wstępnie wyznaczono na początek maja br.

Warto przypomnieć, że list intencyjny wyrażający wolę podjęcia ścisłej współpracy przez oba samorządy, podpisano już 12 października 2009 roku w Wilnie. Od tego czasu przedstawiciele powiatu słupskiego byli już kilka razy w Nie-

menczynie i gościli u siebie przedstawicieli tamtego samorządu, a także młodzież z rejonu wileńskiego. Cały czas podtrzymywane są przyjazne stosunki między obu samorządami i kontakty. Są już też przykłady konkretnej współpracy, m.in. wspólnie ze Związkiem Inżynierów Litwy, Zrzeszeniem Inżynierów i Techników Sanitaro-Budowlanych w Wilnie wydany został w 2009 roku album „Polska - Litwa. Pojednanie i Przebaczenie”, traktujący o stosunkach Polsko-Litewskich na przestrzeni ostatnich dziejów. Grupa poetów z Wilna zaprezentowała się w antologii poezji wiejskiej wydawanej przez powiat słupski, pojedynczy poeci nawiązali kontakt z „Wsią Tworzącą” i prezentowali w niej swoje utwory poetyckie.

Na bieżąco utrzymywany jest kontakt z Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie i redakcją „Kuriera Wileńskiego”, do których sukcesywnie wysyłane są wydawnictwa powiatu, w tym zwłaszcza dwumiesięcznik „Powiat Słupski”. Trafia on też do innych miast rejonu wileńskiego. Powiat słupski zaprasza Annę Pożlewicz - artystkę z Wilna, która po pierwszej wizycie grupy przedstawicieli Słupska i powiatu słupskiego w Wilnie w 2009 roku, przyjechała do Słupska i tutaj obecnie zamieszkuje, na występy w organizowanych imprezach kulturalnych.

Podpisanie oficjalnej umowy partnerskiej z Niemenczynem z pewnością rozszerzy jeszcze te korzystne dla obu stron kontakty. **(dw,z)**

Wpiątek, 5 kwietnia, dokładnie o godzinie 10.10 rozpoczął się VI Powiatowy Przegląd Kabaretowy „Obciach”. Do „walki” stanęło siedemnaście grup, kabaretów w trzech kategoriach wiekowych. Potyczki były przednie. Wszyscy bawili się wyśmienicie, i uczestnicy i widzowie, ale najlepszym momentem było oczekiwanie na werdykt jurorów. Kiedy emocje, trema i bieg rywalizacji opadły, do gry wkroczyła muzyka, taniec i śmiech. Ten spontaniczny, wesoły i szczerzy. To najlepsze podsumowanie integracyjnego wydarzenia.

Podczas dobrej zabawy czas na wyniki minął bardzo szybko i jury w składzie: Urszula Szydlik - Zielonka z Teatru Władca Lalek, Wioletta Stolarczyk z Nowego Teatru w Słupsku oraz Piotr Merecki z Radia Koszalin ogłosili zwycięzców tegorocznych potyczek z humorem i satyrą. Nie było to łatwe zadanie. Jurorzy oceniali treści kabaretowe, które należało dostosować do poziomu i wieku uczestników, umiejętności aktorskie (vis comica), dobry kontakt z widzem, ogólny wyraz artystyczny, scenografię i kostiumy oraz umiejętności wokalne. Było więc tego niemało, ale też o co powalczyć. Organizatorzy: Gminne Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy, Starostwo Powiatowe

Na „Obciachu”



Fot. J. Maziejuk

W Kobylnicy zakończył się Powiatowy Przegląd Kabaretów. Jedna z jego uczestniczek stwierdziła, że nie wystarczy mieć talent, sztuką jest jeszcze umiejętnie się nim podzielić

Brawa, radość i śpiew



W Zespole Szkół w Damnie odbył się konkurs piosenki dziecięcej i młodzieżowej „Rytm i melodia”

Utalentowana młodziź mogła wykazać się swoimi wokalnymi zdolnościami. Konkurs odbył się już po raz czwarty. Pierwsze dwie edycje miały rangę konkursu gminnego, od ubiegłego roku biorą w nim udział już wykonawcy z województwa pomorskiego. Na szkolnej scenie 23 marca br. zaprezentowało się 26 solistów i 7 zespołów w trzech grupach wiekowych. Byli reprezentanci Słupska, Gdyni i siedmiu sołectw w Słupsku: Damna, Zagórzycy (gm. Damnica), Łupawy k. Potęgowa, Niepogledzia k. Dębnicy Ka-

szubskiej, Redzikowa (gm. Słupsk), Wierchowa Człuchowskiego i Wytowna k. Ustki. Niełatwy orzech do zgryzienia miało jury (Jolanta Otwinowska - dyrygent znanych chórów Cantele i ZNP z grodu nad Słupią, przy pomocy równie świetnych muzykologów Beaty Kamińskiej i Luizy Sikorskiej), jako że o Grand Prix wójta gminy Damnica - Grzegorza Jaworskiego zabiegała dość spora rzesza młodych fanów wokalistyki.

Ten upragniony przez wszystkich laur zdobył w końcu gimnazjalista z Wierchowa, Kamil Kowalski.

Inni laureaci konkursu? W grupie uczniów klas 0-III SP: Katarzyna Szadzińska (Łupawa), Maja Czurejko (Człuchów), Joanna Płatwa (Wytowno) i Zuzanna Kalinowska (Damno, wyróżnienie) oraz damneński zespół „Skrzaty” (wyróżnienie; nagród nie przyznano). W grupie „starszaków” z podstawówek: Martyna Muszyńska (Człuchów), Kasper Hańcza (Łupawa), Igor Skoneczny (SP nr 3 w Słupsku), wyróżnienie: Alicja Sporek (szesnastka z Gdyni), Oliwia Wojciechowska (Łupawa), Paulina Kasperek (Słupsk, SP 3); zespoły (bez nazw) z człuchowskiej jedyńki, z Łupawy i „Do Re Mi” z Damna. W grupie gimnazjalnych solistów (kategoria zespołów, niestety, bardzo kiepsko obsadzona): Maria Mędrak (piątka - Słupsk), Marlena Filipczak (Redzikowo), Magdalena Kara (Zagórzycy).

Część artystyczną przeglądu wypełnili zwycięzcy Rytmu i Melodii '12 - członkowie trupy Crazy z człuchowskiej jedyńki.

Wszyscy młodzi artyści zostali należycie ugoszczeni oraz otrzymali pamiątkowe dyplomy. Konkurs dostarczył im wiele pozytywnych emocji i był okazją do sprawdzenia umiejętności wokalnych (**el, an**)

Fot. D. Woitas

"beż... obciachu!"

w Słupsku i Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie nie pożałowało nagród oraz zabawnych i niepowtarzalnych statuetek „Chichotów”.

Wśród najmłodszych wykonawców najlepszym kabaretem okazali się „Obiecujący geniusze” z Łubna. Drugie miejsce w tej kategorii jury przyznało „Kabaretowi sprzątaczek bez oka boksera” z Kępic. Wyróżnienie otrzymała grupa „Na opak” z Wytowna, a za kreację aktorską wyróżniono Magdalenę Kozieł. Młodzieżową grupę uczestników pokonała Dziecięca Grupa Teatralna „Uśmiechnij się” z Motarzyna, zdobywając pierwsze miejsce. W tej kategorii wyróżnienie za kreację aktorską otrzymała Aleksandra Langowska - także z „Uśmiechnij się” z Motarzyna. Trzecie miejsce zajął kabaret „Hydroksylowa” ze Słupska, drugiego jury nie przyznało.

Dorosłym wykonawcom podniesiono poprzeczkę i w tej kategorii nie przyznano trzeciego miejsca, drugie zajął kabaret „Babeczki” z Motarzyna, a pierwszym mo-

że cieszyć się grupa kabaretowa emerytek „Buenos” ze Słupska. Wyróżnienie za kreację aktorską otrzymała niżej podpisana z kabaretu „Babeczki” z Motarzyna. To już trzecie moje wyróżnienie w tej kategorii.

Tegoroczne zabawy w kabaret za nami, czas pomyśleć o przyszłych imprezach. W tym, jak i podczas wcześniejszych spotkań, uczestnicy mogli prezentować własne i publikowane już teksty. Stąd dominowały parodie gwiazd polskiego kabaretu. Można też było zauważyć coraz więcej twórczości własnej. W obu przypadkach prezentacje wymagają ogromnej pracy, cierpliwości, chęci i oczywiście zdolności. Jeśli

ma się talent, to także sztuką jest umiejętnie się nim podzielić. Potyczki w Kobylnicy były wspaniałą okazją dla amatorów tej dziedziny kultury. Bardzo dobrze, iż jest takie miejsce, gdzie można zabawić się w kabaret, a żart wiedzie prym. Jak zauważyło jury, przydałyby się warsztaty w tym kierunku. Na pewno wielu chętnych zasililiby szeregi zwołanych w tym celu zjazdów. Na naukę nigdy nie jest za późno, a dla uśmiechu z pewnością wielu podjęłoby ten trud.

Aldona M. Peplińska, Motarzyna



Fot. J. Maziejuk



Przyznane zostały stypendia na 2013 rok młodzieży osiągającej wysokie wyniki sportowe we współzawodnictwie międzynarodowym i krajowym

Sportowi stypendyści

sy II Liceum Ogólnokształcącego w Ustce - 150 zł, Marcin Mencfel z klasy I w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce - 150 zł, Patryk Nurkowski z klasy I Technikum w Zespole Szkół Ogólnokształ-

cących i Technicznych w Ustce - 100 zł, Mateusz Winiarczyk z klasy III Gimnazjum w Siemianicach - 150 zł i Adrian Winiarczyk z klasy II Gimnazjum w Siemianicach - 100 zł miesięcznie. (dg)

Ostypendia takie w bieżącym roku ubiegało się z powiatu słupskiego 16 osób w dwóch kategoriach: za największe osiągnięcia w uprawianej dyscyplinie sportowej i za wyjątkowy talent sportowy. Decyzją Zarządu Powiatu Słupskiego z 22 lutego br. stypendia takie otrzymali za wynik: Klaudia Maruszewska z klasy III Gimnazjum w Ustce - 300 zł miesięcznie i Aleksandra Karpuk z klasy I Liceum Ogólnokształcącego w Ustce - 200 zł miesięcznie.

Stypendia otrzymali: Patryk Błaszczuk z klasy I Technikum w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce - 200 zł, Agnieszka Kulak z klasy I Gimnazjum w Ustce - 150 zł, Adrianna Marciniak z kla-



Fot. D. Wojtas

za osiągnięcia i talent

Rozmowa z dr Patrykiem Jasikiem - adiunktem i dr Pawłem Sytym - starszym wykładowcą na Wydziale Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej w Politechnice Gdańskiej

Fizyka kwantowa już od podstawówki

- U większości młodych ludzi słowo „fizyka” wywołuje dreszcze. Czy trudno było przekonać się do tej dziedziny nauki?

P. Jasik: - Po ukończeniu studiów na Wydziale Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej w Politechnice Gdańskiej w 2011 roku, zdobyciu tytułu magistra i inżyniera fizyki technicznej. przez pięć lat kontynuowałem naukę i przygotowywałem rozprawę doktorską na temat teoretycznych badań struktury elektronowo-oscyłacyjnej i procesu fotodysocjacji cząsteczki litu. W 2008 roku uzyskałem stopień doktora nauk fizycznych w zakresie fizyki teoretycznej i odbyłem m.in. trzy staże naukowe w grupie prof. Nielsa E. Henriksena na Wydziale Chemii Duńskiego Uniwersytetu



Technicznego w Lyngby. Ale moja przygoda z fizyką zaczęła się już w szkole podstawowej. Na lekcjach nauczyciel przeprowadzał wiele doświadczeń fizycznych, lekcje te były bardzo ciekawe i zawsze mnie interesowały. W szkole średniej miałem również rewelacyjną nauczycielką fizyki i to

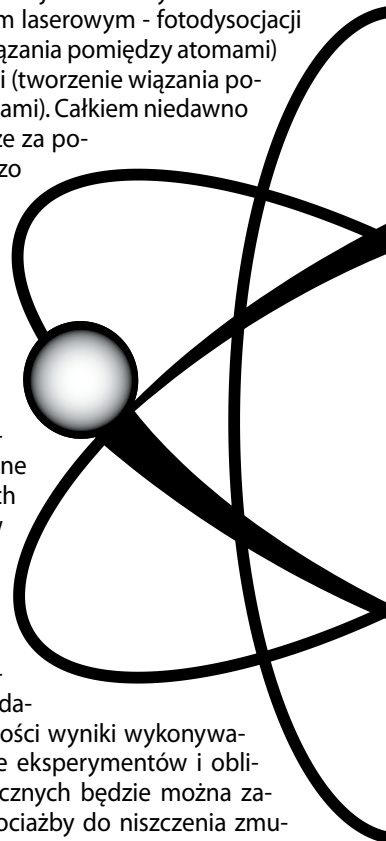
ona właśnie spowodowała, że postanowiłem zostać fizykiem.

P. Syty: - Ja po ukończeniu szkoły średniej rozpocząłem studia też na tym samym wydziale w Politechnice Gdańskiej i po zdobyciu w 1999 roku tytułu magistra i inżyniera fizyki technicznej przygotowywałem rozprawę doktorską pod kierownictwem prof. Józefa Sienkiewicza. Od 2006 roku jestem doktorem fizyki teoretycznej. Swą karierę naukową rozpoczynałem od praktyk w Instytucie Oceanologii Polskiej Akademii Nauk, potem przez kilka lat pracowałem jako asystent na Politechnice Gdańskiej i tu już pozostałem. Brałem udział w wielu konferencjach naukowych, m.in. we Francji, Niemczech, Austrii czy Szwecji. Fizyka to bez wątpienia moja pasja. A jak się nią zaraziłem? W szkole podstawowej przypadkowo dostała się w moje ręce książka „Fizyka kwantowa” autorstwa Eisberga i Resnicka. Fizyki jeszcze wtedy się nie uczyłem, nie miałem nawet pojęcia, co oznacza słowo „kwantowa”. I właśnie, chcąc się tego dowiedzieć, od czasu do czasu zaglądałem do tej książki. Była ciekawie napisana, zawierała wiele wykresów, schematów i rysunków, niewiele z nich rozumiałem, ale to jeszcze bardziej podsyciło moją ciekawość. Dodatkowo książka ta opisywała mikroświat atomów, cząsteczek i cząstek elementarnych, więc tym bardziej wydała mi się warta uwagi. Teraz myślę, że to właśnie dzięki niej zostałem fizykiem, a nie na przykład informatykiem, i nie żałuję tej decyzji. Może nie do końca od dziecka marzyłem o pracy jaką dziś wykonuję, ale pewne predyspozycje do niej pewnie się już wtedy ujawniły. Książka ta do dziś zajmuje honorowe miejsce w mojej domowej bibliotece.

- Co jest tematem Panów badań naukowych prowadzonych na Politechnice Gdańskiej?

P. Jasik: - W mojej pracy zawodowej mogę wyszczególnić dwa główne obszary: naukowy i dydaktyczny. W pracy naukowej zajmuję się obecnie badaniem struktur rotacyjno-oscyłacyjno-elektronowych homo- i heterojądrowych, dwuatomowych cząsteczek metali alkalicznych i ich jonów.

Znajomość tego typu zagadnień jest niezmiernie istotna, z jednej strony z punktu widzenia fizyki atomowej i molekularnej, a z drugiej - z punktu widzenia chemii kwantowej. Wyniki swoich badań wykorzystuję do badania reakcji chemicznych indukowanych światłem laserowym - fotodysocjacji (zrywanie wiązania pomiędzy atomami) i fotoasocjacji (tworzenie wiązania pomiędzy atomami). Całkiem niedawno okazało się, że za pomocą bardzo krótkich impulsów laserowych, trwających kilka femtosekund, można kontrolować takie reakcje chemiczne oraz badać ich przebieg w czasie. Jest to bardzo fascynująca dziedzina badań, ponieważ w niedalekiej przyszłości wyniki wykonywanych obecnie eksperymentów i obliczeń teoretycznych będzie można zastosować chociażby do niszczenia zmutowanego DNA w komórkach rakowych. Drugi obszar mojej działalności zawodowej to dydaktyka. Na co dzień uczę studentów programowania w takich językach, jak C, C++, czy C#. Uczę również fizyki obliczeniowej, w ramach Sekcji Fizyki Teoretycznej „ATOM” Koła Naukowego Studentów Fizyki Wydziału Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej. Dodatkowo jestem jednym z pomysłodawców i twórców projektu „e-Doświadczenia w fizyce”. Wiem jak ważne są one w trakcie nauki fizyki, stąd pomysł na stworzenie e-doświadczeń, czyli programów komputerowych, które mogą pomóc zrozumieć wiele zagadnień fizycznych, również w domu.



P. Syty: - Ja obecnie zajmuję się głównie teoretycznym badaniem zderzeń cząstek (głównie elektronów, ale nie tylko) z tarczami atomowymi i cząsteczkowymi, budowaniem kwantowych, czyli opartych na równaniach właściwych dla mikroświata modeli atomu, bądź cząsteczki i badaniu oddziaływania tych tarcz z cząstką bombardującą, w zależności na przykład od jej energii, czyli prędkości. W praktyce są to obliczenia prowadzone przy użyciu komputera i napisanych przeze mnie programów numerycznych. Poprzez porównywanie wyników tych obliczeń z danymi doświadczalnymi mogę dowiedzieć się więcej o budowie materii, a w szczególności na przykład przewidzieć rozmiar szkód wyrządzanych w organizmach żywych przez promieniowanie jonizujące. Wyniki moich badań mogą mieć bardzo duże znaczenie na przykład w kontekście badań nad chorobą rakową, która jest wciąż trudno uleczalna.

- Co można uznać za największe odkrycie w fizyce w ostatnich latach?

P. Jasik: - Według mnie największym odkryciem ostatnich lat jest grafen oraz możliwość kontrolowania reakcji chemicznych za pomocą impulsów laserowych na poziomie kwantowym w nanoskali. Grafen to forma węgla alotropowego. Odkryła go rosyjsko-brytyjska grupa w 2004 roku. Materiał ten jest około sto razy twardszy od stali. Atomy węgla tworzą w nim siatkę przypominającą plaster miodu lub osłonę piłki nożnej.

Można uzyskać go metodami mikro-mechanicznymi. Do niedawna był to najdroższy materiał na świecie. Ma on szansę zastąpić krzem w różnych częściach komputera, a także przyspieszyć jego pracę o około pięćset razy, ponieważ przewodzi prąd około trzydzieści razy szybciej. Znakomite przewodnictwo sprawia, że grafen nadaje się też do wytwarzania przezprzystych, zwijanych w rolkę wyświetlaczy dotykowych, energooszczędnych źródeł światła oraz produkcji energii odnawialnej z baterii słonecznych i magazynowania jej w wysokowydajnych akumulatorach. Czujniki z grafenu potrafią zarejestrować obecność pojedynczej cząsteczki szkodliwej substancji, znajdując zastosowanie na przykład w monitoringu i ochronie środowiska. Jako

dodatek do tworzyw sztucznych może on przekształcić je w przewodniki elektryczności, a połączony z aluminium może służyć do budowy nowoczesnych sieci energetycznych.

P. Syty: - Na co dzień często nie zdajemy sobie sprawy, że to głównie dzięki fizyce i fizykom istnieją komputery i telefony (zawierające mikroprocesory o ogromnym stopniu upakowania tranzystorów), napędy CD, DVD i blu-ray (laser), kuchenki mikrofalowe, w których mamy do czynienia z kontrolowanym promieniowaniem i istnieje wiele jeszcze innych sprzętów. Nawet rower z przerzutkami zawdzięcza też wiele fizykom. Teorie fizyczne i ich praktyczne realizacje pozwalają na konstruowanie coraz to pojemniejszych baterii, lepszego i bezpieczniejszego sprzętu medycznego, bezpieczniejszych samochodów. Można by wymienić w nieskończoność przykłady. Wspomnę jeszcze tylko o tym, że podstawy Internetu też wymyślili fizycy i jako pierwsi go wykorzystywali jako narzędzie wspierające ich pracę. Jeśli chodzi zatem o najbardziej obiecujące odkrycie i przyszłościowe badania, to według mnie dotyczą one też grafenu, czyli odmiany węgla odkrytej w 2004 roku, posiadającej bardzo korzystne parametry fizykochemiczne - między innymi dużą wytrzymałość i twardość, a przy tym elastyczność i lekkość, dobre przewodnictwo elektryczne i cieplne oraz wiele innych cech, dzięki którym posłuży on do produkcji (zapewne na szeroką skalę) nowych, lepszych urządzeń elektronicznych.

- Skoro są takie ciekawe odkrycia, to czy fizyka i technika w przyszłości będą w stanie całkowicie zdominować nasze codzienne życie?

P. Jasik: - Nie ukrywam, że ulegam czasami wpływom różnego rodzaju wizji futurystycznych, w których świat opanywany jest całkowicie przez cybertechnologię. Jest to jednak chwilowe i raczej wierzę w rozsądne i racjonalne korzystanie ze zdobyczy świata nauki i techniki. Uważam, że osiągnięcia naukowe i techniczne wpłyną korzystnie na nasze życie, pomogą zwalczyć wiele nieuleczalnych dziś chorób, lepiej zadbać o środowisko naturalne, pomogą też rozwiązać problem głodu i dostępu do wody pitnej na świecie.

P. Syty: - Technika będzie zaskakiwać nas ciągle nowocześniejszymi i mądrzejszymi rozwiązaniami, a duży udział w tym będzie miała zawsze fizyka, zwłaszcza molekularna i kwantowa.

- Przygotowując się do tej rozmowy sporo czytałam o energii odnawialnej, Czy alternatywne źródła energii zdominują świat?

P. Jasik: - Jest tak naprawdę jeden sposób, który pozwoli całkowicie rozwiązać problem energetyki światowej. Jest nim opracowanie skutecznej metody przeprowadzania i kontrolowania zimnej fu-

zji termojądrowej. Zjawisko to polega na złączeniu się dwóch lżejszych jąder atomowych w jedno cięższe z jednoczesnym uwolnieniem energii. Z niewielkiej ilości wody morskiej moglibyśmy wówczas produkować duże ilości, czystej energii. Mielibyśmy pod kontrolą małe gwiazdy produkujące olbrzymie ilości energii.

P. Syty: - Uważam, że świat ciągle będzie poszukiwał różnych i jak najtańszych źródeł energii. Będziemy zaskakiwani coraz to nowszymi sposobami jej pozyskiwania.



- Czy w Polsce tworzone są warunki do prowadzenia badań przez młodych naukowców?

P. Jasik: - Uważam, że sytuacja poprawia się z roku na rok. Zarówno Komisja Europejska, jak i polski rząd mają świadomość, że warto i trzeba inwestować w naukę, ponieważ to naukowcy wprowadzają i będą nadal wprowadzać na rynek nowe, często innowacyjne technologie i w znaczący sposób przyczynić się do rozwoju gospodarczego oraz rozwiązywania różnych problemów cywilizacyjnych. Obecnie świat naukowy jest bardzo mały, często młodzi ludzie przenoszą się z jednego ośrodka naukowego do drugiego, by rozwijać swoją wiedzę i podnosić kwalifikacje. Często korzystamy ze środków unijnych lub różnych stypendiów. Obecnie w Polsce co jakiś czas ogłaszane są konkursy na projekty badawcze, dzięki którym można realizować często nawet bardzo śmiałe przedsięwzięcia.

P. Syty: - Główną przeszkodą w rozwoju nauki są oczywiście małe pieniądze na badania, na wyposażenie laboratoriów, wyjazdy itp. Mi, jako teoretykowi, wystarczy co prawda kartka papieru i komputer, ale żeby przeprowadzić poważne doświadczenia, często niezbędny jest do tego bardzo drogi sprzęt. Najczęściej uczelni nie stać na jego zakup, ale na szczęście potrzebne fun-

duże można pozyskać z różnych stypendiów, grantów i projektów - również europejskich. Wymaga to od naukowca pewnej operatywności, umiejętności nawiązywania kontaktów, często międzynarodowych, ale pozwala na w miarę spokojne prowadzenie badań, bez obawy, że w połowie projektu zabraknie pieniędzy na jego kontynuowanie.

- Jeżeli nie jest źle to jak można zachęcić młodych ludzi do uczenia się w szkołach niełatwej fizyki?

P. Jasik: - Najlepsze rozwiązania techniczne, te innowacyjne, są najczęściej interdyscyplinarne. Współczesna nauka jest również bardzo interdyscyplinarna, co oznacza, że aby uczestniczyć w najlepszych projektach trzeba być biegłym w kilku dziedzinach. Jednak zawsze wśród tych dziedzin występuje fizyka, ponieważ jest ona fundamentem dla wielu pokrewnych obszarów wiedzy i nauki. Czy będziemy interesowali się budownictwem, medycyną, wspomnianą energetyką, nie mówiąc już o chemii czy nanotechnologii, wszędzie znajdziemy zagadnienia związane z fizyką. Zatem warto się jej uczyć, ponieważ daje ona możliwość szybkiego rozwoju w dowolnym kierunku.

P. Syty: - W mojej ocenie zachęcanie do nauki fizyki w szkołach to trudne zadanie. Wiele zależy od nauczyciela i jego podejścia do uczniów oraz przedmiotu. Nawet najlepsze argumenty (a w przypadku fizyki nie jest o nie trudno) mogą nie zmotywować wystarczająco do zainteresowania się przedmiotem, gdy lekcje prowadzone są nudno i bez pomysłu, bez przeprowadzania doświadczeń. Stąd też wziął się m.in. nasz pomysł na projekt „e-Doświadczenia w fizyce”, u którego podstaw leży chęć zainteresowania uczniów fizyką poprzez uatrakcyjnienie lekcji za pomocą komputera.

- Czy poza fizyką mają Panowie jakieś inne pasje, które wypełniają wam czas?

P. Jasik: - Fizyka jest moją jedyną pasją.

P. Syty: - Ja mam jeszcze nietypową pasję - od dzieciństwa kolekcjonuję różne mapy. Wzięło się to stąd, że moja mama pracowała w przedsiębiorstwie turystycznym i czasami przynosiła do domu prospekty reklamowe oraz mapy różnych zakątków świata. Były to czasy, w których nie było jeszcze takiego dostępu do informacji, jaki mamy dziś, nie mówiąc już o możliwości podróżowania. Ja miałem to szczęście, że mogłem już odwiedzić wiele z ciekawych miejsc na świecie, które wcześniej poznawałem właśnie z map. Jednak pasja ich kolekcjonowania pozostała. Posiadam dziś kilka tysięcy najróżniejszych map i planów miast. Gdy czas tylko na to pozwala, przeglądam je tak, jak kiedyś.

Rozmawiała:
Katarzyna Jaworska, Damnica



Już w dzieciństwie odkrywamy jedną z ważniejszych prawd ekonomii - że nie można mieć wszystkiego jednocześnie

Trzeba wybierać

Mimo że kusi nas wiele rzeczy, które wydają się niezbędne, to doskonale wiemy, że musimy ograniczyć się do zakupu ograniczonej i określonej ilości produktów. Wszyscy przez całe życie muszą dokonywać różnych wyborów. Każde gospodarstwo rolne, przedsiębiorstwo, spółka czy organizacja musi decydować, na co przeznaczyć posiadane środki finansowe. Konieczność wyboru dotyczy również rządu, który nie może osiągnąć jednocześnie wszystkich stawianych sobie celów. Każdego roku najbardziej zagorzałe dyskusje polityczne dotyczą pytania: na co rząd powinien wydawać pieniądze podatników? Żaden człowiek (ani żadne społeczeństwo) nie może posiadać wszystkiego.

Robiąc z żoną zakupy na Święta Wielkanocne w jednym z hipermarketów wkładałem poszczególne produkty do koszyka. W pewnej chwili żona zwróciła mi uwagę: „coś ty wziął, jakieś jajka, nie wiadomo skąd, masz przecież świetne z naszego regionu”. Byłem zdziwiony, bo co to za różnica: i to jajko i to jajko.

Po powrocie z hipermarketu odnalazłem nazwę fermi kur, z której zakupiliśmy jajka. Pochodziły z gospodarstwa rolnego „Ferma Kur Adkonis”. Zatelefonowałem tam, chcąc uzyskać informacje o produkcie. Sekretarka przełączyła rozmowę do prezesa, który zaprosił mnie do zapoznania się z firmą, obchodzącą niedawno 40-lecie istnienia. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony taką uprzejmością i otwartością. W

umówiony dzień udałem się do wsi Kwakowo, ażeby poznać największą w naszym regionie fermę kur. Zostałem przyjęty przez głowę rodziny i prezesa w jednej osobie Roberta Adkonisa, który opowiedział mi o swojej życiowej pasji oraz innych ciekawych decyzjach swego życia.

Jako młody chłopak w 1972 roku, po ukończeniu Technikum Rolniczego dokładnie wiedział, jakiego dokonać wyboru w życiu. Przy pomocy całej rodziny pobudował pierwszy drewniany kurnik. Wziął pierwszy kredyt i kupił 12 hektarów ziemi z budynkami, pomimo ostrzeżeń ojca, że do 1980 roku wszystkie indywidualne gospodarstwa rolne mają być zlikwidowane. Za pozostałe pieniądze z kredytu kupił dwieście kur i dwa tysiące kaczek. Zrobił tak, gdy w tym samym czasie słyszało się o opłacalności chowu trzody chlewnej i krów mlecznych, gdy w pobliskich Sycewicach, w tamtejszym PGR powstawała bardzo nowoczesna obora udojowa, z której mleko miało być tłoczone specjalnym rurociągami do mleczarni w Słupsku. Skąd u niego wziął się pomysł na drób? Pan Robert odpowiedział: - Moją pasją była i jest ziemia i chów drobiu. Dalej opowiadał jak w wiadrach woził jajka na rynek, a potem pierwszym swoim samochodem - syrenką. Tak powoli, małymi krokami rozbudowywał kurniki, dokupując ziemię, stawiając budynki gospodarcze.

Dzisiaj jest największym producentem jaj kurzych w województwie pomor-

skim i jednym z liczących się producentów krajowych. Jego ferma przeznaczona jest na 240 tysięcy niosek. Posiada swoje mieszalnię pasz - produkuje pasze na sprzedaż i na własne potrzeby. Prowadzi skup zbóż od rolników. Swoją fermę kur pan Robert Adkonis prowadzi wspólnie z trzema synami, którzy w najbliższych latach planują jej rozwój do 500 tysięcy kur, planują rozbudowę kurników, a także mieszalnię pasz. Podjęcie takiej decyzji wiązało się z wyborem: podjąć współpracę z Agencją Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, skorzystać z funduszy unijnych i szybkiego rozwoju pod ścisłym nadzorem przedstawicieli agencji, czy działać wolniej, ale w oparciu o środki własne? Pan Robert z synami zdecydował się pójść drogą szybkiego rozwoju.

Na koniec mojej wizyty zapytałem, czy uważa siebie za człowieka sukcesu? Co mógłby doradzić młodym ludziom? Odpowiedział, że w życiu trzeba mieć pasję, bardzo dużo odwagi i samozaparcia. Trzeba ciągle dokonywać wyborów: co zrobić, co kupić, czego nie robić, co może poczekać na inny czas, co nie może czekać, bo za dużo się straci. Gdzie pozyskać kredyty i czy nie będą za drogie, przede wszystkim - należy ciągle uczyć się swojego rzemiosła.

Rozstaliśmy się z panem Robertem, a ja wiedziałem już, dlaczego moja żona woli jajka z rodzimej fermy niż z innej, nieznanej. Zasiadając do wielkanocnego śniadania z przyjemnością i ze smakiem zjadałem te zakupione od pana Roberta.



Pierwsza zasada ekonomii mówi: ludzie zmuszeni są dokonywać wyborów. Pragnienia ludzkie są nieograniczone, jednakże zasoby niezbędne do ich zaspokojenia są ograniczone. Dlatego każde społeczeństwo zmagają się z identycznymi problemami: niedostatkiem i koniecznością dokonywania wyborów.

dr Mirosław Betkowski
Słupsk

Ferie w domu

Z sondy przeprowadzonej na powiatowej stronie internetowej wynika, że aż 62 proc. dzieci z powiatu zimowe ferie spędziło w domu

Uczestnicy sondy mieli kilka przygotowanych wariantów odpowiedzi: dziecko wyjedzie z rodzicami w polskie góry, wyjedzie z rodzicami za granicę, pozostanie w domu, pojedzie do rodziny, wyjedzie na zimowisko, weźmie udział w półkoloniach zimowych.

Wyniki pokazały, że aż 62 procent dzieci spędziło ferie w domu, co było podyktowane zapewne głównie brakiem środków finansowych na zorganizowanie ferii poza miejscem zamieszkania.

17 procent biorących udział w sondzie odpowiedziało, że ich dziecko odwiedziło w czasie zimowego wypoczynku rodzinę, a 11 proc., że wyjechało w polskie góry.

Zaledwie 5 procent rodziców stwierdziło, że ich pociechy miały okazję wyje-



Fot. J. Maziejuk

chać na zimowisko lub wzięły udział w półkoloniach zimowych.

Nikt nie odpowiedział, że jego dziecko w ferie wyjechało za granicę. (AK)

Jak oceniam pracę urzędników?

W trosce o stałe podnoszenie jakości pracy Starostwa Powiatowego w Słupsku w kolejnych wydaniach biuletynu „Powiatu Słupskiego” drukować będziemy ankietę na temat pracy urzędu i zadowolenia mieszkańców powiatu z jego usług. Zachęcamy do wypełnienia poniższej anonimowej анкеты, wśród wszystkich osób, które ją nadesłają i wypełnią

oddzielny dołączony do niej kupon, losować będziemy rzeczowe upominki. Wszystkie sprostowania, opinie, uwagi i wnioski zostaną przeanalizowane i posłużą do dalszego doskonalenia jakości pracy starostwa i usług publicznych oferowanych mieszkańcom powiatu. Wypełnione ankiety i oddzielne kupony biorące udział w losowaniu upominków

można składać do specjalnych, oznaczonych napisem „ANKIETA” i „KUPONY” skrzynek w budynku Starostwa Powiatowego lub przesyłać drogą pocztową na adres: **Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14.** Ankietę można też wypełnić na stronie www.powiat.słupsk.pl

ANKIETA OCENY USŁUG ŚWIADCZONYCH PRZEZ STAROSTWO POWIATOWE W SŁUPSKU

1. Kiedy ostatnio załatwiał/a/ Pani/Pan sprawę w Starostwie Powiatowym w Słupsku?
2. Jak ocenia Pani/Pan sposób załatwienia sprawy, kompetencje urzędników itp.?
3. Jak ocenia Pan/Pani ogólnie poziom usług świadczonych przez starostwo?
4. Czy uważa Pani/Pan, że Starostwo Powiatowe jest instytucją przyjazną mieszkańcom powiatu słupskiego?
5. Co według Pani/Pana należałoby zmienić w funkcjonowaniu pracy starostwa?
6. Czy poruszanie się po budynku starostwa sprawiło Pani/Panu jakiejkolwiek trudności? Jeśli tak, to jakie?

Proszę odciąć kupon i przesłać lub przekazać w oddzielnie zaklejonej kopercie

KUPON UPRAWNIAJĄCY DO WZIĘCIA UDZIAŁU W LOSOWANIU UPOMINKU - NIESPODZIANKI W ZWIĄZKU Z WYRAŻENIEM OPINIÍ NA TEMAT PRACY STAROSTWA POWIATOWEGO W SŁUPSKU

Imię i Nazwisko

Adres, na który należy przesłać upominek

Wyrażam zgodę na wykorzystanie moich danych osobowych w celach związanych z losowaniem upominku.

(Data i podpis wypełniającego kupon)

Trafiłam do muzeum

Oniemiałam na widok wnętrza tego domu. To muzeum - antyczne, solidne meble, wiele pamiątek z podróży zagranicznych i różnych krajów, są nawet słonie z Afryki

Jak echo odbijają się wspomnienia, czy tego się chce czy nie chce. Nad myślami nie sposób zapanować. Wracasz do tego, co było dawniej, porównujesz z dniem dzisiejszym, a bilans - jakby nie patrzeć - ma pozytywne i negatywne strony - których więcej, trudno mi ocenić. Szukasz ciszy, spokoju, a to też dobija, podobnie jak zgiełk miasta. Może to tylko tak odbierają ludzie w podeszłym wieku, chociaż na moje pocieszenie, jest to jeszcze jeden przypadek ucieczki z miasta na głuchą, zabita wieś. Nie jest ona już tak dosłownie głucha i zabita, bo trochę zmodernizowana. Jest wodociąg, kanalizacja, jest sprzęt umożliwiający kontakt z szerszym światem. Mam na myśli telefony, internet, samochody. Cóż, kiedy od poczty dzieli ją około piętnaście

kilometrów, a od najbliższego sklepu - cztery kilometry. Kontakt z żywym człowiekiem stał się bardziej ograniczony, każdy jakoś „zamyka” się w czterech ścianach własnego domu z własnymi problemami i trudno to przełamać. Jak przygrzeje słońce latem, to wtedy częściej można zobaczyć radosny, beztroski uśmiech dzieci i jest trochę lżej.

Właśnie wtedy spotkała mnie miła niespodzianka,



Konie. Od niepamiętnych czasów towarzyszą człowiekowi. Wydarte naturze, ujarzmione, porwane z dzikich stepów, aby swą siłą i wytrzymałością służyły ludziom. Koń stał się nieodłącznym towarzyszem w bojach, w pracy rolniczej na polach, pod ziemią w górnictwie, zarabiał dla właściciela cyrku. Konie były natchnieniem malarzy, nasi sławni malarze jak Gierzyński, Kossak, Matejko swoje wielkie dzieła poświęcali wizerunkom koni w scenach batalistycznych, polowaniach, wreszcie jako skończone piękno natury. Konie występowały jako bohaterowie dzieł pisarzy. Nad dolą zwierzęcia pochylił się, choćby Gustaw Morcinek w utworze „Łysek z pokładu Idy”, Maria Konopnicka w noweli „Nasza Szkapą” i wielu innych. Tysiące końskich statystów występują w kinematografii, na planach filmowych, konie są tematem pieśni wojskowych, ludowych, trafiły do przysłów, porzekadeł. Wiele sławnych bitew zawdzięcza się wytrzymałości koni. Słynna była polska husaria za czasów króla Jana Sobieskiego, ułani polscy w bitwach napoleońskich, oddziały konne Marszałka Piłsudskiego z jego „Kasztanką”. Nawet w ostatniej wojnie całe oddziały wojska przemieszczały się na koniach, przykładem niech będzie słynny oddział Hubala.

Osobny temat to konie na wsi. Podstawą bytu rolnika była siła pociągowa koni. Końmi obrabiano wszystkie prace polowe, koń pracował w lesie przy ściąganiu kłoców drzewnych, przy budowie dróg, kolei, wszędzie tam, gdzie była potrzebna siła, był nie zastąpiony. Niejednokrotnie, aby koń miał siłę, szczególnie na przednówku, kiedy nie było już zboża w zapasie, a trawa jeszcze nie wyrosła, gospodarz sobie odejmował od ust kromki chleba i dokarmił swojego konia, aby jakoś dotrwał do wiosny. W mojej rodzinie konie również

Tylko konie



Ach, jak pięknie wyglądał świat z wysokości końskiego grzbietu, kiedy gołymi piętami ścisnęło się boki konia i trzymało małymi dłońmi końskiej grzywy

odegrały wielką rolę. Ojciec był zwanym koniarzem. Chociaż mógłby nienawidzić koni, ponieważ zdarzył się w jego życiu tragiczny wypadek, który zaważył na całym życiu taty. Kiedy urodził się i miał zaledwie kilka dni, koń zabił mu ojca i od tej chwili życie taty stało się bardzo trudne.

A mimo to konie były jego wielką miłością. Przewinęło się koni przy naszym wiejskim gospodarstwie bardzo wiele. Tata ciągle sprowadzał nowe, często zabiedzone, nieujężdżone, niedokarmione, po jakimś czasie, kiedy udało mu się postawić nieszczeniaka na nogi, szybko go wyhandlował na



o której chcę opowiedzieć. Był u nas wnuczek w czasie wakacji. Nie mógł nacieszyć się wolnością. Skoro tylko wstał już wychodził na dwór. Zachwycił się wszystkim, co rosło obok domu, w ogrodzie, polu i lesie. Poznawał otaczającą go przyrodę. Mogłam pokazać mu bociany w gnieździe.

To one właśnie wybrały sobie miejsce na gniazdo na posesji „uciekiniarów” Łodzi. Miłe małżeństwo, oboje już też wolni od pracy, zawsze kłaniają się z przyjaznym uśmiechem na twarzy i pozdrawiają spotkanego mieszkańca, zawsze zamienia kilka słów. Pewnego razu podczas spotka-

nia i rozmowy na drodze przypadkowo wypaplałam, że napisałam wiersz o bocianach. Pan S. poprosił bym mu go dała. Trochę się to odwlekło i już po wakacjach zaniósłam go wraz z innymi wierszami. Na posesję bałam się wejść, bo strzegą jej dwa bardzo duże, czarne, włochate, piękne psy. Nie wiem, jakiej są rasy, ale wyglądają bardzo groźnie i budzą respekt. Zadzwoiłam dzwonkiem przy furtce, wyszedł Pan S. i poprosił bym weszła na podwórze. Psy z małżonką były akurat na spacerze.

Życzliwy gospodarz oprowadził mnie po całym obejściu, pokazał wszystkie ciekawie rosnące kwiaty, krzewy, drzewa, nawet orzech, z którego spryciary wiewiórki sprzątnęły mu wszystkie orzechy. Wróciła Pani S. ze spaceru z psami i wtedy już nie sposób było odmówić wejścia do domu na herbatę. Nie pomogły moje tłumaczenia, że jestem niestosownie ubrana na wizytę. Nie było się jak wykręcić. Wszłam i nie żałuję.

Oniemiałam na widok wnętrza tego domu. To muzeum - antyczne, solidne meble, wiele pamiątek z podróży zagranicznych i różnych krajów, są nawet słonie z Afryki. Sypialnia urządzona w iście królewskim stylu. Pokazali mi, w jaki sposób zagospodarowali strych. Pan S. sam wyłożył cały drewnianą boazerią. Wymagało to bardzo wiele pracy i zmysłu twórczego. Jest tam luksusowe miejsce do spania dla gości przyjeżdżających latem, kącik na herbatkę, miejsce do pracy przy internecie. A psy na jedno słowo filigranowej Pani S.: - Leżeć! - posłusznie położyły się pod schodami na swoich legowiskach i nic ich nie obchodziło.

Podziękowałam serdecznie za poczęstunek, a szczególnie za „ucztę dla duszy”. Wracając myślałam o pozytywnych zmianach, jakich doczekał się ten dom z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku - na zewnątrz i wewnątrz. Kiedyś mieszkały w nim trzy rodziny i tak nie wyglądał.

Eugenia Ananiewicz, Małęcino

Żal...

kolejną końską ofiarę. Były z tego powodu awantury z mamą, bo tata przeważnie dokładał do tego interesu. Wiele koni uratował od śmierci, i to było jego radością i zapłatą. Były też konie, które przebywały u nas dłużej. Wielka duma naszego ojca to „Alma”, piękna klacz z akcji „UNRA”, ciężki pociągowy okaz. Ważyła chyba tonę i mieliśmy od niej przychowek - pięknego ogierka. Była też niezapomniana „Kasztanka”, która dawała się nam, dzieciakom ujeżdżać. Często zjechało się na tyłek z jej wysokiego grzbietu, ale kto by na to zważał. Czekaliśmy z niecierpliwością, kiedy po skończonej pracy ojciec wypręgnie ją i każe odprowadzić na pastwisko lub przyprowadzić z powrotem.

Ach, jak pięknie wyglądał świat z wysokości końskiego grzbietu, kiedy gołymi piętami ścisnęło się boki konia i trzymało małymi dłońmi końskiej grzywy.

Kiedy prowadziłam z mężem swoje gospodarstwo rolne, jeszcze przez wiele lat konie służyły nam pomocą w polu. W latach 60. było jeszcze mało ciągników na wsi. Ale przyszły zmiany. Do dziś żal targa serce, na myśl, że trzeba było

zamienić żywe konie na konie mechaniczne. Nastąpiły traktory, wprowadziły wszystko przemawiało na korzyść takiej zamiany, ale nie sumienie i serce. Dzisiaj już nie ma gospodarstwa rolnych, w których pracowałyby konie, dzisiejsze rolnictwo oparte jest na nowoczesnych rumakach, coraz bardziej przystosowanych do potrzeb każdego gospodarstwa. Dlatego cieszyć się należy, że są jeszcze na świecie miłośnicy koni, którzy swoje życie poświęcają pasji hodowania tych jakże pięknych zwierząt, dbają o nie i pielęgnują z iście ojcowskim sercem. Do takich ludzi zaliczyć należy pana Artura Kiempe, wielkiego miłośnika koni, któ-

ry prowadzi swoją stadninę w Redzikowie koło Słupska. Kilka lat temu objął hodowlę po swoim ojcu Tadeuszu, który był promotorem Fundacji „Nadzieja”. Od roku 1980 pan Artur zajmuje się hodowlą koni sportowych. W ubiegłym roku jego klacz o pięknej nazwie „Bibisi” otrzymała tytuł superchampiona na wystawie w Jaruzynie wśród koni spoza województwa kujawsko-pomorskiego. Dwuletnia kasztanka imponowała pokrojem, dostała najwyższą w swojej stawce ocenę. Podkreślić trzeba niezwykle dobre przygotowanie koni do wystaw przez pana Artura Kiempe, który robi to zawsze z wielkim sercem. „Bibisi” to

trzecie pokolenie koni sportowych wyhodowanych w jego stadninie. Na pytanie: jak to się stało, że zajął się hodowlą koni, odpowiada, że dawno temu dostał konia w nagrodę za pomyślenie zdane egzaminy i od tej chwili wiedział, że jego życie związane będzie z końmi. Po prostu je pokochał. Tę miłość do koni widać na każdym kroku, osobiście opiekuje się i dogląda każdą sztukę w stadninie. Zna od chwili narodzin, jest obecny przy każdych następnych narodzinach, źrebaki często przychodzą na świat na jego rękach. Przeżywa boleśnie, jeżeli coś stanie się niedobrego. Nieraz musi stawić czoła różnym problemom, ale mówi, że warto, bo kocha to, co w życiu wybrał i z czego jest dumny.

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk



życie związane z końmi

„Powiat Słupski” wspiera młode talenty dziennikarskie. Poniżej drukujemy wyróżnione przez naszą redakcję prace nadesłane na konkurs dziennikarski „O laur Słupskich Kotwic” organizowany już od kilku lat przez Szkołę Podstawą Nr 9 im. komda por. Stanisława Hryniewieckiego w Słupsku. Tegoroczne hasło konkursu brzmiało: „Morze to woda, ludzie i wiatr”.

Płynął jak Odyseusz

Świata to Aleksander Doba ciekaw był całe życie. Zawdzięcza to swoim rodzicom, którzy rozbudzili w nim chęć podróżowania po okolicach, po Polsce i po całym świecie. - Jest wielki, piękny i wiem, że wszystkiego, co ciekawe, nie obejrzę - mówił. Na mapie, którą pokazuje w sali złotowskiego kina jest Ocean Atlantycki, a na nim dwie linie: zielona i czerwona. Ta pierwsza, prosta i krótsza, łączy afrykański Dakar, z południowoamerykańskim miastem Fortaleza. Druga, czerwona, wygląda jak wąż, wije się po oceanie, raz się od tej zielonej oddala, raz do niej zbliża. To jest ta rzeczywista trasa, jaką popłynął swoim niezwykłym kajakiem - jako jeden z trzech śmiałków, którzy pokonali Atlantyk w ten sposób.

Kajak

Zaprojektowanie kajaka nie było dla niego trudne, był przecież kiedyś projektantem i inżynierem mechanikiem. - Naszkicowałem go tak, jak go sobie wyobraziłem - mówił - i szukałem producenta, który by mi go zbudował. W ten sposób trafił do stoczni Andrzeja Armińskiego w Szczecinie, gdzie trzech młodych projektantów przeniosło jego wyobrażenie na papier. Ze szkicu Doby wynikało, że kajak będzie miał siedem metrów długości, metr szerokości, a z przodu powinna znajdować się kabina, bo rejs, jak zakładał, potrwa trzy - cztery miesiące. Ale przede wszystkim powinien być bezpieczny - niezatapialny.

Rejs miał rozpocząć się w Afryce, dlatego kajak trzeba było przetransportować najpierw do portu w Szczecinie, a stamtąd do Senegalu - byłej francuskiej kolonii. Płynął tam na statku „Magdalena”. Doba francuskiego nie znał, więc potrzebował na miejscu pomocy. Udzielił mu jej Lamin,

Prawie 6 tysięcy kilometrów, wysokie fale, gwałtowne wiatry, oceaniczne burze oraz upał - z tym wszystkim zmagał się przez trzy miesiące Aleksander Doba, wielki podróżnik i wspaniały człowiek. W Fortalezie postanowił trochę odpocząć. Ale już w marcu wyruszył dalej, rzekami przez Brazylię i Peru

którego poznał przez Elizę, jego... narzeczoną, mieszkającą w Szczecinie.

Wreszcie

„Z wielką radością informuję, że 26 października 2010 roku o godzinie 15:30 (czasu polskiego letniego) rozpocząłem swoją wyprawę Transatlantic Kayak Expedition!” - taki zapis pojawił się w jego dzienniku transatlantyckim, jaki prowadził w czasie całej swojej wyprawy. Przed nim, jak się potem okazało, było ponad trzy miesiące wiosłowania i walki z żywiołem. - Jak płynąłem - wspominał później - to byłem taki zadowolony i szczęśliwy, że w końcu zacząłem swoją wyprawę. Gdzie jest, orientował się świetnie dzięki GPS-owi, a w utrzymaniu kursu pomagała mu umocowana na kablinie busola. Towarzyszył mu ciągły upał, ale płynął dalej. Z upływem czasu na jego ciele pojawiać się zaczęły jakieś wypryski. To był wpływ wysokiej temperatury i soli oceanicznej zawartej w wodzie słonej i w wilgotnym powietrzu. Dlatego, gdy miało padać, to u góry, na pałakach, rozkładał coś w rodzaju ławki. Stawiał na niej naczynie i łapał wodę do picia.

Najlepiej nocą

Rzeczywista długość trasy, jaką pokonał w „żółtym jajeczku” - jak pieszczotliwie nazywał swój kajak - to 5394 kilometry. Dziennie pokonywał około 54 kilometry, co dało średnią prędkość 2,26 kilometra na godzinę. Wydaje się, że to mało, ale przecież podróżnik nie siedział w turystycznym kajaku i nie płynął z nurtem rzeki. Musiał walczyć z ogromnymi falami i wiatrem, sztormami i prądami wodnymi. Czasem pokonywał w ciągu dnia kilka kilometrów, niekoniecznie we właściwym kierunku. Zdarzało się, że wiosłował w przeciwnym. Gdy pogoda sprzyjała, łatwiej wygrywał z falami. Jego rekord dobowy to 126,5 kilometra!

Wolał zdecydowanie wiosłować nocą. W dzień było za gorąco. Gdy nieba nie zasłaniały chmury - świeciły mu gwiazdy. Wybierał kurs na busoli i płynął. Czasem wyłączał światło. Wtedy łatwiej mógł dojrzeć, czy nie zbliża się jakiś statek. Kiedy nie widział żadnego, płynęło mu się lepiej. Nie przeszkadzała mu myśl, że jest sam na Atlantyku, a pod nim kilka kilometrów głębokości.

Żywioty silniejsze

Częściej było jednak trudniej. Z tygodnia na tydzień wiatry stawały się coraz silniejsze. Musiał przedzierać się przez fale. Często mu się to udawało, ale nieraz był jak Odyseusz, który nie płynął tam, gdzie chciał. „Codzienne serie burz i niekorzystne prądy spowalniają wyprawę... - pisał w swym dzienniku 23 listopada - Mimo zapału do zmierzania się z naturą nie jestem w stanie wiosłować i negocjować z aurą jednocześnie”.

Często wiatr zrywał się znienacka i fale zalewały kajak. Wtedy musiał się w nim zamykać. Raz nie zrobił tego dokładnie i woda dostała się do środka. Rano okazało się, że zalała mu część baterii. Na szczęście, nie trzymał wszystkich w jednym miejscu.

Rybia eskorta

W czasie trwającej blisko 100 dni wyprawy, na jego drodze pojawiło się niewiele rekinów. - Było tylko kilkanaście - mówi. - Częściej towarzyszyły mi bardziej sympatyczne stworzenia. Tworzyły coś w rodzaju eskorty, dzięki której nie czułem się tak samotnie. Były to głównie ryby latające oraz złote makrele.

Te pierwsze, trochę mniejsze od śledzia, były piękne. Te drugie zobaczył po raz pierwszy po niecałych dwóch tygodniach od opuszczenia Dakaru. Były wielkie, miały przynajmniej 1,5 metra długości. Nie znał ich, dlatego wysłał do Polski SMS-y z ich opisem. Pytał, jak się nazywają i czy są groźne. Okazało się, że to okoniokształtne złote makrele i mogą ugryźć, ponieważ mają otwór gębowy wyposażony w małe, ostre zęby, lecz głównie jedzą ryby latające. Potrafią osiągnąć do 60 kilometrów na godzinę, są szybkimi i bardzo sprawnymi pływakami. Mają krępe, wydłużone i pokryte drobnymi łuskami ciała. Ich ubarwienie bardzo często się zmienia. W dzień koło Doby pływało ich pięć - sześć, lecz w nocy gromadziło się więcej - około dwudziestu.

Ptasia przyjaźń

Śmiałkowi towarzyszyły też różne ptaki. Jednego znalazł całego mokrego i wyczerpanego w swoim kokpicie. Wyszł go, pochuchał na pasażera na gapę i wypuścił. Lecz on nie chciał lecieć. Wskoczył do kabiny, usiadł sobie w kącie i przyglądał się wiosłowaniu. Znudziło mu się dopiero po paru godzinach. Inne przylatywały rano i wodowały koło kajaka kilkakrotnie, robiąc krótkie obloty. „Coraz więcej

ptaków nocuje na kajaku - pisał w swoim dzienniku. - Dzisiejszej nocy pięć. Wieczorem była między nimi walka o dobre miejsce na rufie”.

Nierówna walka

Mniej więcej przez dwa pierwsze tygodnie wiosłował po spokojnym oceanie, ale z dnia na dzień wiatry stawały się coraz silniejsze, a fale większe. W nocy z 12 na 13 listopada wiało ok. 5°B z podmuchami do siedmiu, fale osiągały blisko trzy metry. W kolejnych dniach wiało jeszcze mocniej, a silne prądy nie pozwalały płynąć tam, gdzie chciał. Najgorsze miało jednak dopiero nastąpić. Dwunastego grudnia telefonował do żony: „Ostatnie dwa dni były najcięższe, jakie mnie spotkały do tej pory w trakcie wyprawy...”

Nad podróżnikiem wisiały ogromne, czarne, ciężkie od deszczu chmury, lało jak z cebra, przyszedł sztorm i gwałtowna burza z silnym wiatrem oraz wysokimi falami, zalewającymi kajak. Męczył go też przeciwny, południowy wiatr. Chwilami słabł i wtedy starał się przebić przez fale. Czasami się udawało, ale częściej GPS pokazywał, jak kręci się w kółko. Nadzieja była tylko w poprawie pogody. Czasami poprawiała się, ale po niej znowu żywioł dawał mu w kość. Dwudziestego grudnia spotkała go kolejna - jak pisał - „potężna dawka emocji. Pięć godzin burz, fale do siedmiu metrów, wichry”. Dwa dni później dwie wielkie burze z 8-metrowymi falami pognały go na południe.

Zakończenie rejsu Doba zaplanowała w Fortalezie, ale uniemożliwiły to niekorzystne prądy. Ostatecznie stopę na lądzie postawił 2 lutego 2011 roku o godz. 14:12 tam, gdzie rzeka Acarau wpływa do oceanu. Na jej wodach znalazł się już o świcie. Na chwilę wyszedł na brzeg, gdzie odbył pierwszą od trzech miesięcy bezpośrednią rozmowę. Porozumiał się z napotkanym Amerykaninem w najstarszym języku świata, czyli na „migi”. Okazało się, że musi popłynąć jeszcze kilka kilometrów dalej, w górę rzeki, gdzie czekali na niego - dziennikarz Jerzy Arsoba oraz ambasador RP w Brazylii, Jacek Junosza Kisielewski. Czekala też brazylijska Polonia, ale w Fortalezie, czyli 180 kilometrów na wschód od Acarau.

Wiktorja Piotrowska

Klasa V Szkoły Podstawowej w Lotyniu
Praca napisana pod kierunkiem mgr. Andrzeja Miłoszewicza. Oryginalny tytuł: „Jak Aleksander Doba płynął przez Atlantyk w „Żółtym jajeczku.”

Będzie możliwy rozwój

Na kwietniowym konwencie samorządowcy powiatu słupskiego rozmawiali w Ustce o współpracy w różnych dziedzinach gospodarki

W konwencie, oprócz samorządowców wzięli też udział członkowie Powiatowej Rady Zatrudnienia w Słupsku. Na początku starosta Sławomir Ziemianowicz przekazał prezydentowi Słupska Maciejowi Kobylińskiemu statuetkę za zajęcie przez Słupsk pierwszego miejsca w kategorii miast na prawach powiatu w Ogólnopolskim Rankingu Powiatów i Gmin. Przekazał też specjalny dyplom dla „Super Powiatu”. Starosta odebrał te wyróżnienia dla Słupska przy okazji udziału w XVI Zgromadzeniu Ogólnym Związku Powiatów Polskich, gdzie podobnymi tytułami tylko w innej kategorii wyróżniono również powiat słupski.

Następnie regionalne programy strategiczne dla województwa pomorskiego omówił Włodzimierz Szordykowski - dyrektor Departamentu Rozwoju Gospodarczego w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Pomorskiego w Gdańsku. Poinformował, jak będzie można je wykorzystać dla rozwoju regionu. Omówił również System Promocji Gospodarczej Pomorza i możliwości, jakie dają wspólne realizacje projektów partnerskich.

Dyrektor Zarządu Dróg Powiatowych Mariusz Ożarek zaprezentował inwestycje drogowe przewidziane do realizacji w bieżącym roku w powiecie słupskim. Z kolei Wojciech Szulc z gabinetu prezydenta Słupska mówił o możliwościach pozyskania środków finansowych na informatyzację urzędów z konkursu Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji.

Ofertę współpracy z samorządami przedstawili też - Zbigniew Osadowski - prorektor ds. programów europejskich i współpracy z gospodarką oraz Marzena Łukasik - kierownik Biura ds. Karier i Współpracy z Gospodarką z Akademii Pomorskiej w Słupsku, a także Andrzej Skowron z Aeroklubu Słupskiego. (D.W.)

Niebo chciało się połączyć

Gdzieś w szumie
morskich fal słysząc
tęskną pieśń żeglarzy,
którzy nigdy nie
powrócili na ląd.
Słysząc ostatni war-
kot silników statków,
które spoczywają
teraz nieszczęsne na
dnie złowrogiego dla
nich Bałtyku

Jedną ze znanych nam katastrof, która wydarzyła się na Morzu Bałtyckim, było zatonięcie brytyjskiego statku „General Carleton”. Zniknął w toni morskich fal 27 września 1785 roku w pobliżu ujścia Piaśnicy, niedaleko miejscowości Dębki. Powodem zatonięcia było nadciągnięcie sztormu o sile huraganu. Przyczynił się on do wyrwania i wleczenia kotwicy oraz przesunięcia ładunku żelaza. Osiemnaście osób poniosło śmierć. Przed groźnym Neptunem - bogiem mórz, uchroniły się tylko trzy osoby. Do dziś w okolicy Dębek krąży legenda na temat tej katastrofy.

Dużo katastrof morskich na Bałtyku miało miejsce podczas II wojny światowej.

Często ich przyczyną był atak militarny na statek. Prawdopodobnie tylko w samym 1945 roku, od stycznia do maja morze pochłonęło blisko 40 tysięcy ofiar. Pi-

sze się, że największą katastrofą, nie tylko w tym okresie, ale w ogóle w historii, było zatonięcie okrętu szpitalnego „Wilhelm Gustloff”. Stało się to 30 stycznia 1945 roku niedaleko Ustki. Sowiecki okręt podwodny storpedował statek, na którym znajdowali się Niemcy, uciekający z Pomorza i Prus Wschodnich przed Armią Czerwoną. Na statek ten, przeznaczony dla niespełna dwóch tysięcy osób (wraz z załogą), weszło blisko 10 tysięcy ludzi. Był tak przeciążony, że z trudem wykonywał podstawowe manewry. Trafiony trzema torpedami zaczął natychmiast nabierać wody. Na pokładzie zaraz wybuchła panika. Ludzie tratowali się nawzajem, zrzucaли z pokładu, walczyli o miejsce w szalupie. Ewakuacja z przechylającego się na lewą burtę statku przebiegała fatalnie. Łodzie wywracały się, wiele szalup w ogóle nie spuszczone, bo mocujący je osprzęt zamarzł. Po 65 minutach od storpedowania, „Wilhelm Gustloff” poszedł na dno. Ze względu na wy-

Z wodą i wiatrem wiąże się wiele sportów ekstremalnych. Jednym z nich jest kitesurfing. Jest to młoda dyscyplina sportu, której z roku na rok przybywa miłośników. Fascynacja współczesnymi sportami latawcowymi - kitami, pochłonie bez reszty każdego, kto choć raz spróbował zmagać się z wiatrem. Wymaga koncentracji oraz siły mięśni. Poza tym jest to sport dla osób lubiących ryzyko. Dzięki latawcowi można pływać po wszystkich dostępnych akwenach. Do szczęścia potrzebny jest jedynie wiatr...

- Nigdy bym nie przypuszczał, że moja pierwsza zabawa latawcem, radość na widok tańczącego kolorowego robmiku na niebie, przerodzi się w wielką pasję - wyznaje ustecki kitesurfer Arkadiusz Kusalewicz. Sportem tym interesuje się od najmłodszych lat. Na początku były to zwykłe latawce, za którymi biegał po plaży. Jako mały chłopiec marzył, by „jego zabawka” utrzymała się w powietrzu jak najdłużej i poleciała jak najwyżej. W dzieciństwie pragnął zostać pilotem, jak jego tata. To właśnie on pokazał mu, jak wspaniały może być kontakt z naturą. Nauczył go, jak odpowiednio przygotować sprzęt kitesurfingowy. Przekazał wiele cennych wskazówek, z których Arek korzysta do dziś. Był jego pierwszym nauczycielem. Niejednokrotnie

Z miłości do wiatru

Szum fal unoszonych w górę, urozmaicony krzykiem mew, oraz wiatr dają siłę i wolność

udzielał dobrych rad, a gdy coś nie wyszło, pocieszał. Z wiekiem Arek postanowił wykorzystać swoją wiedzę oraz umiejętności i spróbować sił na wodzie. Uważa to za niecodzienną przygodę. Mówi, że największą satysfakcję czuje, gdy wzbija się w powietrze. Kite daje mu niezapomniane wrażenia i ogromną swobodę. Łączy to, co w sportach uwielbia najbardziej. Nie ukrywa, że jest to trudne zajęcie. - Należy mieć odpowiednie doświadczenie, a przede wszystkim nie bać się wody - mówi. - Często trzeba zmierzyć się nie tylko z własnymi lękami i strachem, ale przede wszystkim z niebezpiecznymi żywiołami. Wielką zaletą tego hobby jest to, że można wykonywać pasjonujące ewolucje w powietrzu...

Silne wiatry sprzyjają miłośnikom kitesurfingu. Ustka jest uznana za jedną z lepszych plaż pod tym względem. Idealne wa-

runki panują także w okolicach Zatoki Puckiej, Gdańskiej i na Mierzei Helskiej. Sport ten można uprawiać zarówno na wodach morskich, jak i słodkich. Arek swoich sił próbował już w wielu miejscach. Brał udział w zawodach kitesurfingowych w Polsce i za granicą. Był m.in. w Egipcie, we Włoszech, na Sycylii. Za każdym razem przywozi dużo nowych doświadczeń.

- Obcowanie z dwoma żywiołami - wodą i wiatrem, dostarcza niezapomnianych wrażeń - wyznaje Arek. - Kto pragnie przeżyć niezwykłą przygodę, poznać ludzi z pasją oraz pooglądać kolorowe latawce kitesurfingowe, powinien koniecznie przyjechać na ustecką plażę. My - Polacy, mamy dostęp do morza, dlatego możemy próbować swoich sił w tej pasjonującej dyscyplinie sportu.

Katarzyna Kordasińska
Społeczne Gimnazjum w Ustce

Z morzem

jątkowo trudne warunki atmosferyczne, uratowało się zaledwie kilkadziesiąt osób. Przy temperaturze minus 20 stopni C., każdy kto wpadł do wody, po kilku minutach zamarzał.

Jeszcze przez kilka miesięcy Bałtyk wyrzucał na brzeg ciała topielców.

Największa powojenna katastrofa miała miejsce 14 stycznia 1993 roku na Bałtyku. Nad ranem poszedł na dno gdyński prom „Jan Heweliusz”, który płynął ze Świnoujścia do szwedzkiego Ystad. Z 64 osób znajdujących się na pokładzie ocalało tylko dziewięciu marynarzy. Zginęło 35 pasażerów i 20 marynarzy. Jak opowiadał potem jeden z marynarzy: „tej nocy niebo chciało się połączyć z morzem” - sześciometrowe fale, wichur dmący z prędkością 180 kilometrów na godzinę oraz pył wodny, powstający poprzez zrywanie grzbie-

tów fal przez wiatr, pędziły na dziób statku, ograniczając widoczność do kilku metrów. Na przyrządzie do pomiaru siły wiatru skończyła się skala! Około godziny 4.00 potężny huragan uderzył w burtę statku. Prom zaczął się przechylać. Po tym jak pozrywały się mocowania, przewożone ciężarówki zaczęły się przemieszczać po pokładach i rozsypywać ładunki, nie było już ratunku. O godzinie 5:12 prom się przewrócił.

Mimo że większość osób znajdujących się na pokładzie przeżyła katastrofę, część zginęła z zimna, potęgowanego przez silny wiatr i wysokie fale zalewające wnętrza tratw. Do tego większość pasażerów była tylko w piżamach. Członkowie załogi posiadali specjalne ocieplane skafandry ratunkowe, ale nie wszyscy zdołali je zabrać z kajut. Do dodatkowych ofiar przyczyniły się błędy służb ratowniczych. Ratownicy z niemieckiego statku „Arcona” nie schodzili do rozbitek, jedynie...

spuścili im siatkę, po której mieli się wspiąć na pokład.

Dwudziestego ósmego września 1994 roku miała miejsce kolejna katastro-

fa. Prom samochodowo-pasażerski „Estonia” pociągnął za sobą na dno Bałtyku 713 ofiar! Niektórzy twierdzą, że powodem tej katastrofy była wada furty dziobowej, która nie wytrzymała ogromnego naporu fal i szalejącego wówczas sztormu. Według innych teorii „Estonia” zatonała na skutek eksplozji bomby ukrytej w kadłubie. Tak czy owak zdołano uratować jedynie 138 osób.

Jedną z katastrof, która wydarzyła się nie tak dawno, było zatonięcie pogłębiarki „Rozgwiezda” siedem mil morskich od brzegu na wysokości wsi Gąski. Do wypadku doszło 17 października 2008 roku. Załoga pogłębiarki próbowała ją ratować, rzucając kotwicę. Niewiele to jednak pomogło, bo „Rozgwiezda” nabrała przechyłu i zatonała. Marynarze zdążyli jeszcze rzucić do wody pneumatyczną tratwę ratowniczą (znaleziono ją pustą) i założyć pasy ratunkowe. Być może pod wodę wciągnęły ich wiry wywołane przez tonący, na głębokości 30 metrów statek. Zginęło wówczas pięć osób.

Karolina Maszkowska

Klasa VI Szkoły Podstawowej w Zaleskich

Oryginalny tytuł: „Tajemnicze oblicze Bałtyku”.

Zoddali, zagłuszane przez szum morza, przebijają się szczekanie psa. Ci na kutrze są rybakami. Jeden to Jan, już w podeszłym wieku. Drugi to jego syn - Janusz. Rybak Jan gestem ręki zachęca do wejścia na łódź.

Gdy na morzu hula wiatr...

Janusz włącza silnik. Jest godzina 6:40. Słońca nie widać, bo niebo jest zasnu- te ciemnymi, masywnymi chmurami.

- Stratonimbus - mówi Jan.

Młodszy rybak kiwa głową.

- Będzie padać. Warto się pośpieszyć.

Rybacy są mało rozmowni. Morze jest niespokojne. Fale uderzają o burty małego kutra. Morze zmienia kurs statku. Na szczęście rowiańskie wybrzeże jest w większości pozbawione skał. Na plaży nie widać nikogo. Zimno. Zimno nawet w uszy, mimo grubej, wełnianej czapki. Wiatr wciska się wszędzie. Jan i Janusz zdają się tego nie zauważać.

Półow czas zacząć

Janusz zwalnia prędkość kutra. Stajemy, ale morze popycha łódź raz w jedną, raz w drugą stronę. Jakbym przebywał w łupinie orzecha....

Godzina 6:23, szóstego stycznia 2013 roku. Jestem w porcie w miejscowości Rowy, położonej niecałe trzydzieści kilometrów od Słupska. Dwóch ludzi krząta się na żółtym, odrapanym z farby kutrze rybackim, przycumowanym jeszcze do brzegu

Na kutrze

Janusz wyciąga sieci na ryby. Jan gestem dłoni nakazuje się odsunąć. Zza pleców masywnego rybaka niewiele widać. Spienione grzywy fal bez ustanku, niestru-dzenie uderzają w burty kutra. Zegarek nie-ustanie wskazuje godzinę 6:43. Coś jest nie tak. Woda musiała zalać czasomierz.

Ziemia na horyzoncie

Jan złapał za ster, a Janusz uruchomił silnik. Powoli kuter zaczął zawracać. Zbliżamy się do portu. Plaża wciąż świeci pustkami...

Gdy Jan przycumował łódź, a Janusz wyłączył motor, wszyscy trzej wyszliśmy na brzeg. Rybacy wzięli ze sobą jakieś przedmioty. Jan uściśnął mi dłoń i uśmiechnął się. Janusz także podał mi rękę na pożegnanie i uśmiechnął się zupełnie jak ojciec.

Mateusz Kunysz

Klasa III Gimnazjum w Zespole Szkół

Samorządowych w Objeździe

Oryginalny tytuł: „A na kutrze pra- ca wre”.

w łupinie orzecha...

Usteccy rybacy nie boją się, że wiatr i zimna woda odbiorą im zdrowie. Nie boją się, że morskie prądy zniosą ich na nieznany ląd albo uniemożliwią powrót do domu.

Ryba wiatrem gnana

Wporcie spotkałem Piotra Makucha, pochodzącego z rybackiej rodziny z Władysławowa. Na morze ciągnęło go od małego. Marzył o zbudowaniu jachtu i opłynięciu świata. Los jednak chciał inaczej. Jeszcze w czasie nauki w Technikum Budowy Okrętów we Wrzeszczu poznał mieszkankę Ustki i z tą miejscowością związał swoje zawodowe życie. I, oczywiście z morzem, i - jak mówi - z rybaczeniem.



Fot. Archiwum Autora

Teraz już nie pływa. Nie pozwalają mu na to zdrowie i wiek. Wspomina, że poławianie ryb było kiedyś bardziej niebezpieczne, ale zajmowało się nim znacznie więcej ludzi. Rybacy pracowali w państwowych firmach i spółdzielniach, do których należały kutry. Łowili też ryby z łodzi, ale prywatnych armatorów było mniej niż teraz. W tamtych czasach tylko kutry były wyposażone w echosondy, które pokazywały ławice ryb. I tylko kutry mogły wypływać na otwarty Bałtyk, poławiając na obszarze polskiej strefy ekonomicznej. Ci, którzy posiadali łodzie stawiali sieci w tak zwanej strefie przybrzeżnej. Rybak wspomina, jak każdego wieczoru nasłuchiwali komunikatu radiowego o prognozie pogody dla Bałtyku. Szczególną uwagę zwracali na siłę, kierunek wiatru, wysokość fali, która decyduje o tak zwanym stanie morza. Jego skala liczona jest od zera, a kończy się na 9. stopniu Douglasa. Wtedy fale osiągały wysokość 14 metrów. Dla wiatru jest to skala Beauforta i właściwie ma 12 stopni, ale powyżej dziesiątego traktuje się już wiatry jak huragany. Podawane

w radio liczby i nazwy stron geograficznych podpowiadały rybakom, jak stawiać sieci i czy w ogóle będą mogli wyjść w morze.

Nawet optymistyczny radiowy komunikat nie zawsze dawał jednak pewność, że warunki na morzu się nie zmienią i łaskawe dotąd morze, nie pokaże się rybakom z innej, drapieżnej strony. Najniebezpieczniejsze są właśnie nagle załamania pogody, które grożą zatopieniem kutra i utrudniają bezpieczny powrót kutra do portu. Zwłaszcza, gdy wiatr i prądy morskie oddziałują na kuter w kierunku przeciwnym do lądu. Przez taki zmienny wiatr pan Piotr stracił w czasie połowu ryb dwa palce. Już byli ustawieni do podbierania ryby, kiedy niespodziewanie wiatr przycichł, a potem zmienił kierunek. To zawsze powoduje na morzu dużo problemów. Między innymi dlatego, że na Bałtyku dominuje krótka i błyskawicznie reagująca na wiatr fala. W tym czasie Piotr Makuch stał przy kołowrotku i pomagał wybierać sieci pełne ryb. Łódkę obróciło, a lina naprężyła się tak, że aż zaczęła trzeszczeć. Sternik szybko zareagował i poprawił kurs łodzi. Wydawało się, że niebezpieczeństwo minęło. Wtedy jednak niespodziewanie lina pękła, a jej końcówka - gwałtownie wypinając się z kołowrotka - ucięła rybakowi kciuk i palec wskazujący lewej ręki. Ten wypadek nie wyleczył jednak pana Piotra z miłości do morza. Po rocznej przerwie i rehabilitacji, wrócił na kuter.

- Teraz jest już inaczej, bo urządzenia na łódkach są lepsze - mówi pan Piotr. - Również prognozy pogody dla rybaków są bardziej precyzyjne, obejmują mniejsze obszary Bałtyku i aktualizowane są o wiele częściej. Jednak wiatr, a zwłaszcza jego zmienność, to nadal duże zagrożenie dla rybaków. Mało kto wie, że od niego zależy też, gdzie żeruje ryba. Dawniej to właśnie wiatr wskazywał rybakom najlepsze miejsca stawiania sieci. O udanym połowie decyduje kierunek wiatru, ukształtowanie brzegu i rodzaj dna morskiego. Wielkie znaczenie ma też temperatura wody i jej zasolenie - bo każda ryba lubi inną wodę. Gdzie indziej szuka się dorsza, a gdzie indziej śledzia czy

szprota. Trzeba też pamiętać o prądach! Są ryby, które korzystają z ich kierunku i są takie, którym lepiej pływa się pod prąd. Dopiero analiza wszystkich tych czynników pozwala na wytypowanie najlepszego miejsca na połów. W pracy rybaka nie chodzi o to, by wypłynąć w morze, ale by powrócić bezpiecznie do portu z obfitym połowem.

Roman Czepiel od piętnastu lat jest motorzystą, czyli zajmuje się silnikiem i urządzeniami mechanicznymi. Pływa na UST-54. - Tradycyjnie taki statek jak nasz nazywany jest łodzią, bo jego długość nie przekracza dwanaście metrów - wyjaśnia motorzysta. - Ta długość tak się utrzymała w nazywaniu statków, że nawet nowe przepisy uznające za łódź statek rybacki do piętnastu metrów niczego nie zmieniły. Podobnie, jak w wypadku kutra, którego długość liczy się od dwunastu do dwudziestu czterech metrów.

Także w pracy pana Romana wiatr i ruchy wody morskiej odgrywają ogromną rolę. Wielokrotnie musiał zostać w porcie, ponieważ siła wiatru przekraczała 7 stopni w skali Beauforta, a stan morza - 5 stopni Douglasa. - Mało jest już szaleńców, którzy wyszliby w morze przy takiej pogodzie. Poza tym kapitanat portu nie dałby zgody na wyjście jednostki w morze - dodaje. - Choć niedawno zdarzyła się taka sytuacja. Rybacy zdenerwowani długo przeciągającym się postojem w porcie z powodu złych warunków, zdecydowali się zaryzykować i skorzystać z chwilowej poprawy pogody. Zlekceważyli ostrzeżenia i wypłynęli na połów. Pech chciał, że nie tylko powrócił silny wiatr, ale i zepsuł się silnik. Łódź zaczęła dryfować. Pogorszył się stan morza i rybacy zaczęli wzywać pomocy. Na szczęście w pobliżu był kuter ratunkowy i podjął ryzykantów z łodzi na swój na pokład. Łódkę udało się również uratować, ale koszty holowania jej do portu były bardzo duże. Dobrze, że skończyło się tylko na stratach finansowych. Dlatego zawsze z pokorą należy podchodzić do ostrzeżeń pogodowych - mówi R. Czepiel.

Radosław Sikora

Szkoła Podstawowa Nr 3 w Słupsku

Polscy witkacologodzy spotkali się w Sali Rycerskiej Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku w niedzielę, 24 marca br. i było to wydarzenie niecodzienne. Przyczyną dużego zainteresowania konferencją środowisk naukowych była prezentacja najnowszej publikacji na temat życia i twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza, autorstwa profesora Janusza Deglera. Przyjazd wybitnych specjalistów związanych z twórczością Witkacego zawsze nobilituje Słupsk. Muzeum Pomorza Środkowego poprzez swoje zbiory i ciągły rozwój największej kolekcji malarskiej tego twórcy, stało się niezaprzeczalnie znaczącym ośrodkiem wzbudzającym również poza Polską zainteresowania wielopłaszczyznową twórczością Witkacego.

Wyrazem tak postrzeganej działalności są organizowane co pięć lat międzynarodowe cykliczne konferencje. Ostatnia - czwarta przygotowana z okazji 70. rocznicy śmierci Stanisława Ignacego Witkiewicza odbyła się w dniach 17-19 września 2009 roku. Bogate materiały z tej konferencji, opublikowane w opracowaniu pt. „Witkacy: bliśki czy daleki?” zostały zaprezentowane na marcowym spotkaniu przez Janusza Deglera - redaktora naukowego i stanowiły przyczynek do dyskusji oraz wyjaśnienia interesujących zdarzeń z życia artysty. Zagadką jest na przykład podwójna data urodzenia widniejąca w dokumentach Witkacego, która stanowiła dla biografów trudność w ustaleniu faktycznego początku jego życia. Wiele szczegółów związanych z biografią artysty zostało na tym spotkaniu wyczerpująco wyjaśnionych przez specjalistów z różnych dziedzin.

Profesor Uniwersytetu Szczecińskiego, Marta Skwara przedstawiła ostatnio opublikowaną monografię postaci dramatów Witkacego pt. „Wśród Witkacoidów: w świecie tekstów, w świecie mitów” (Wrocław 2012). Przedstawiony w niej punkt widzenia specjalistki na temat wyznaczenia typologii postaci i dokonana analiza porównawcza motywów szaleństwa w twórczości Witkacego i Conrada, stanowi novum w opracowaniach tematycznych.

Duże zainteresowanie wzbudziło wystąpienie Piotra Rudzkiego, prezentujące opracowanie „Witkacy na scenach PRL-u” (Wrocław 2013). Obszerne wydanie wielostronnie obrazuje historię wystawień dramatów Witkacego po 1945 roku na scenach polskich. Witkacy objęty cenzurą, dopiero po 1956 roku

Witkacologodzy w Słupsku

Największą sensację wzbudziła informacja o zakupie nowego obrazu do kolekcji Witkacego. Jest to portret olejny Marii Zielińskiej



Fot. W. Lipczyński

wrócił do oficjalnego obiegu kulturalnego (i osiągnął kulminację popularności) inscenizacją „Szalonej lokomotywy”, przysto-

Pawłuśkiewicz. Spektakl w formie musicalu prezentowany był w namiocie cyrkowym i obejrzało go ponad 60 tysięcy widzów.

Podobne spektakle miały miejsce w Warszawie i Katowicach, gdzie zagrano pięć przedstawień z kompletem publiczności.

Został zaprezentowany też album z obrazami i notkami biograficznymi z życia artysty pt. „Witkacy”, autorstwa Anny Żakiewicz (Olsztyn 2012). Piękne opracowanie w języku polskim i angielskim, z wyborem najciekawszych

obrazów, ukazuje ewolucję artystyczną w twórczości Witkacego. W publikacji podkreśla się spójność między malarstwem a dramatem, o czym pisał już wielki wielbi-



Fot. W. Lipczyński

waną w sierpniu 1977 roku przez krakowski Teatr STU w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego. Wystąpili w niej m.in. Maryla Rodowicz i Marek Grechuta, a muzyką opatrzył Kanty

ciel twórczości artysty, Tadeusz Boy-Żeleński w 1928 roku: „(...) malarstwo i teatr stanowią jedność. Dzieła malarstwa Witkacego to teatr zastępy na płótnie, teatr o życiu tak intensywnym, że artysta musi uzewnętrznić jego nadmiar dopomagając sobie płucami aktora, przetwarzając je na głosy; a jednocześnie (artysta) przekształca raz po raz swój teatr w serię obrazów znieruchomiałych, które jakby w osłupieniu odtwarzają sens życia”. Tajemnicą jednak w dalszym ciągu pozostanie fakt, które obrazy Witkacego Boy identyfikował ze sztukami teatralnymi.

Najciekawszym momentem spotkania była promocja książki Janusza Deglera - „Listów do żony (1936-1939)”, wydanej w Warszawie w 2012 roku. Motto tej publikacji: „Jesteś jedyną istotą na ziemi dla mnie”, zamyka czwarty tom korespondencji Witkacego z żoną. Zawiera on 336 listów, kart pocztowych, widokówek, odcinków pocz-

wicz ze Słupska i Maciej Witkiewicz - stryjeczny wnuk Witkacego przedstawili fragmenty jego listów. Sensację wywołał dar M. Witkiewicza przekazany dla muzeum. Są to odnalezione w zbiorach rodzinnych w willi zakopiańskiej Witkiewiczów trzy ołówkowe portrety - szkice, których autorem prawdopodobnie jest Witkacy. Dwa znajdują się na tym samym kartonie, wypełniając jego dwie strony, trzeci jest bardzo zniszczony. Dodatkowo Maciej Witkiewicz podarował muzeum kilka miniatur Dziuni, jednej z ciotek Witkacego, której podobizna została utrwalona na jednym z przekazanych portretów.

Największą jednak sensację wzbudziła informacja o zakupie nowego obrazu do kolekcji Witkacego. Jest to portret olejny Marii Zielińskiej. Jego wartość oszacowano na 320 tys. złotych. Zakupu dokonano dzięki uzyskanej z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dotacji w wysokości 250 tys. złotych i wsparciu Sejmiku Pomorskiego w wysokości 65 tys. złotych. Resztę dołożyli lokalni sponsorzy. W maju w Noc Muzeów nowo zakupiony obraz będzie udostępniony publiczności.

Muzeum Pomorza Środkowego rozpoczęło prace przygotowawcze nad pozyskaniem spichlerza przy ulicy Szarych Szeregów, gdzie, po jego adaptacji na cele muzealne, ma zamiar przenieść całą kolekcję Witkacego, w której skład obecnie wchodzi 264 różne dzieła plastyczno-malarskie.

Witkacy to podstawowy produkt markowy Słupska, który jeszcze nie jest w pełni doceniany i promowany, jako duchowa wizytówka miasta. Najwyższy czas, aby podjąć wspólny wysiłek dla lepszego wykorzystania tej „światowej skarbnicy”, nie tylko przez właściwy marketing, promo-

cję, czy reklamę. Należy również rozpocząć systematyczną pracę nad wzbogaceniem przestrzeni miejskiej poprzez postawienie pomnika - monumentu Witkacego, stworzenie parku tematycznego poświęconego artyście, inspirowanie do produkcji pamiątek i różnorodnych wyrobów z wizerunkiem artysty, jak również do dalszego wykorzystania potencjału muzealnego, na chwałę Witkacego i Słupska.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



Fot. W. Lipczyński

towych. Janusz Degler przygotował bardzo starannie do druku listy Witkacego - obecnie zdeponowane w Książnicy Pomorskiej w Szczecinie i opatrzył wyczerpującymi, o dużej szczegółowości przepisami, co stanowi dodatkowy walor książki. Sam opisał trud włożony w przygotowanie publikacji, mówiąc: „... mam radość z zakończenia wieloletniej pracy i zarazem smutek z powodu całościowego zamknięcia korespondencji Witkacego”.

Na zakończenie Jolanta Krawczykie-

Wydana w 2012 roku w Słupsku, przez Miejską Bibliotekę Publiczną im. Marii Dąbrowskiej, „Fotografia chłopów pomorskich” na stronach 231-262 zawiera rozdział „Pomorskie świętowanie”. Fotografie przedstawiają uroczystości religijne, obrzędy dożynkowe, święta rodzinne. Autorzy publikacji ubolewają, że zanika dawna różnorodność świętowania, że „Uroczystości dożynkowe na pomorskiej wsi wydają się w ostatnich latach mocno ujednoliconie. Niestety - piszą dalej - brakuje na nich chociażby tradycyjnych pieśni dożynkowych ludności, która przybyła na Pomorze po 1945 roku.” Dodałabym, przeglądając fotografie, zapomnieliśmy o obrzędach i zabawach okołoświątecznych, choćby noworocznych przebierańcach, kolędnikach, jasełkach, kaszubskich gwizdźkach. Zapomnieliśmy o Dyngusie i brzoźowych witkach. Zapomnieliśmy i już!

Powie ktoś: świętujemy inaczej. Dobrze, bo świętować trzeba. Nie tylko dlatego, że po pracy należy wypocząć, zregenerować siły. Także dlatego, że świąteczny czas uczy patrzeć na świat z zaufaniem i nadzieją. Pozwala zacząć od początku - tydzień, rok, kolejny etap życia. Uroczystości rodzinne, religijne, regionalne, państwowe łączą ludzi, włączając wszystkich bez wyjątku. Nie mają znaczenia różnice wykształcenia, stanowiska, zamożności czy wieku. Świętowanie to najlepszy sposób społecznej integracji, wzajemnego komplementowania, określania i utrwalania tożsamości. Wiedzieli o tym pierwsi powojenni osadnicy na Pomorzu. Kronikarz wsi Objazda Roman Zub napisał w listopadzie 1946 roku: „Po kilkudniowym pobycie i częściowym poznaniu terenów cała młodzież uchwaliła zorganizowanie zespołu artystycznego, aby te nudne chwile uprzyjemnić sobie piosenką, inscenizacją, wesołym skeczem, muzyką ludową. Na trzeci dzień zabrano się do pracy i za siedem dni program był już opracowany, którego premierę wystawiono u siebie w Laskach (Dębina). Zaproszono tam kierownika szkoły z Objazdy, komendanta MO i inne osobistości. Po udanej premierze owacji i uciechy było co niemiara dla wszystkich członków zespołu, ich rodzin, zaproszonych gości”.

Nikt wtedy nie prowadził badań socjologicznych, ale intuicja i życiowe doświadczenie podpowiadały, jak budować więzi, sympatie, jak rozpoznawać talenty i charaktery ludzi w nowo tworzącej się wiejskiej społeczności. Współczesne zmiany ekonomiczne, społeczne, kulturowe zainicjowane w czasie transformacji po raz kolejny przekształcają pomorską wieś. Inny charakter mają chłopskie gospodarstwa. Z ubolewaniem trzeba zauważyć, że zmienił się stosunek do roli, dawniej traktowanej w kategoriach sacrum, obecnie wykorzystywanej jako element ekonomicznej gry, szczególnie wówczas, gdy w perspektywie pojawiają się unijne dopłaty.

Pomorskie świętowanie nie tylko w Jezierzycach



Bogactwem Pomorza jest naturalna kulturowa różnorodność wniesiona niczym wiano przez mieszkańców regionu. Przez lata strażnikami regionalnej kuchni, zwyczajów, obrzędów, pieśni, legend było pokolenie przybyłych na słupską ziemię osadników

„We współczesnym szumie informacyjnym, w niemal propagandzie zjednoczonej Europy, zapewnieniach o wspólnocie interesów i zyskach cywilizacyjnych, szczególnie niebezpieczne wydają się tendencje unifikacyjne, które zacierają istotne składniki odmienności kulturowej i bagatelizują wartość szacunku dla najbliższego regionu oraz rdzennej kultury” - piszą naukowcy z Instytutu Polonistyki Akademii Pomorskiej w Słupsku - Adela Kuik-Kalinowska i Daniel Kalinowski w książce „Od Smętka do Stolema”.

Bogactwem Pomorza jest naturalna kulturowa różnorodność wniesiona niczym wiano przez mieszkańców regionu. Przez lata strażnikami regionalnej kuchni, zwyczajów, obrzędów, pieśni, legend było pokolenie przybyłych na słupską ziemię osadników. Historię kilku rodzin opowiada dołączony do albumu „Fotografia chłopów pomorskich” poruszający film „Osadnicy”. Obok rozwijała się dyskusja o znaczeniu i wpływie kultury i literatury Kaszubów na rozumienie pojęć regionalizmu i „małej ojczyzny”.

Tymczasem życie zostało ujęte w formalne ramy, chłopskie tradycje podporządkowane zostały państwowej matrycy. Mimo to kobiety tworzące przy kółkach rolniczych własne KGW chroniły przed zapomnieniem dawne zwyczaje, z naturalnej potrzeby artystycznej powstawały zespoły ludowe. Dokumentacje takich działań znajdziemy w przywoływanej publikacji wyda-

nej według pomysłu Danuty Sroki, gdzie w formie fotograficznego zapisu znajdziemy opowieści o zespole mandolinistów i prądkach z Objazdy, rzeźbiarzach - Eugeniuszu Michalskim z Zimowisk i Piotrze Saksonie z Pobłocia, Andrzeju Ganie z Dębicy Kaszubskiej, malarzu Franciszku Giereszu z Gardny Wielkiej, zespołach folklorystycznych - „Modraki” z Parchowa i „Klęciniarki” z Klęcina. Zadziwia bogactwo kulturalnych



Fot. J. Maziejuk

działań, o których mało kto wiedział. Czy czas obecny jest inny? Czy ludowi twórcy są rozpoznawani na własnym terenie? Taką nadzieję daje obecność Gminnych Ośrodków Kultury, ich współpraca w wiejskich środowiskach, w tym z kołami gospodyń.

Współczesne Koła Gospodyń Wiejskich po zmianach transformacyjnych na wsi mają częściej status stowarzyszenia czy organizacji pożytku publicznego niż organizacji społeczno - zawodowej rolników działającej równolegle z kółkiem rolniczym. Wyrazem takiej zmiany była nieobecność podczas VIII Powiatowego Turnieju KGW przedstawiciela Związku Kółek i Organizacji Rolniczych. Warto wiedzieć, że uporządkowanie prawne pozwala na wpisanie KGW do rejestru podmiotów prowa-

dzających i dowcipna relacja oparta na dwuznaczności słów. Podobne elementy dowcipu wykorzystano w balladzie spletającej historię Biesowic z działalnością KGW. Bez nagrody, niestety.

Jedną z konkurencji VIII Powiatowego Turnieju KGW był... kapelusz. Czemu by nie - ktoś zapytał. Wszyscy wiedzą, że tradycyjnym ludowym nakryciem głowy była chustka. W polskiej tradycji ludowej była znakiem związku z regionem i stanu cywilnego kobiety. Chusty różniły się kolorami, wzorami, sposobem noszenia. Nie zapomnieli o nich współczesne gospodynie, wykorzystując je jako prosty i gustowny element wyróżniający stroju.

Jak cię widzą - inny dopowie i będzie miał rację. Może kapelusz potraktowany

nej roli... kapelusza. „Ostatnia dekada wieku XX uwolniła kapelusz od społecznych czy użytkowych funkcji i wtedy pojawiły się niezwykle twórcze i zaskakujące konstrukcje, aż po ekstrawaganckie nakrycia głowy prezentowane na pokazach mody haute couture (wym. ot kutir) - pisze Danuta Śliwińska (<http://www.muzeum.krakow.pl/>). Czyżby pomysłodawcom turniejowego zadania z kapeluszem chodziło o to, by panie z KGW zajęły się projektowaniem ekskluzywnej garderoby, szczególnie kapeluszy? Nic już nie wiem.

Mniej lub bardziej dowcipnie wypadły konkurencje z tańcem. Tańczono zorbę, pasodoble, flamenco, taniec piwny z oktoberfestu. Pewnie w ramach profilaktyki AA właśnie ta prezentacja została nagrodzona. Podobnie rzecz się miała z piosenkami - ludową i dowolną. Obie mogły być wykonane w czasie jednego wejścia na scenę, ale było inaczej. Zrobiło się zamieszanie, nagłośnienie wysiadło, zespół z Objazdy jak niepyszny zszedł ze sceny, jednym słowem, kłapa. Dla organizatorów. Przy okazji, poza dobrym i sprawnym nagłośnieniem potrzebne byłoby oświetlenie sceny, by stroje, elementy prezentacji były widoczne dla publiczności.

Wyniki turnieju znają wszyscy. Nie są najistotniejsze. Ważne było spotkanie, wiejskie pomorskie świętowanie z udziałem przedstawicieli władzy. Był minister Kazimierz Płocke, senator Kazimierz Kleina, przedstawiciele sejmiku wojewódzkiego - Mirosław Batruch i Czesław Elzanowski, był gospodarz powiatu - starosta Sławomir Ziemianowicz i gospodarz turnieju, dyrektor ODR w Strzelinie Zdzisław Kołodziejcki. Wszyscy czuli się jak u mamy, bo przecież koła gospodyń wiejskich przechowują archetyp domowego ogniska, przy którym dobrze jest ogrzać serce. Nie zabrakło chleba i omasty. Gospodynie w ramach turniejowego zadania upiekły chleby, przygotowały przekąski. Wszystko wyglądało apetycznie. Częstować się można było za odpłatnością domowymi ciastami i kawą.

Turniejowe potyczki wymagały pracy i wysiłku, które zaliczyć trzeba do kategorii podstawowych zwycięstw. Tak tworzy się poczucie więzi, solidarność, odpowiedzialność, a i gorycz porażki znieść łatwiej. Dlatego wszyscy są zwycięzcami. Niemniej warto zadbać, by entuzjazm i zaangażowanie miały przełożenie na satysfakcję członków KGW i społeczności, w których działają.

Otwierając VIII Powiatowy Turniej KGW w Jezierzycach dyrektor Zdzisław Kołodziejcki wyraził radość i podkreślił wagę uzyskanych przez Polskę funduszy europejskich w perspektywie 2014 - 2020. Jakie znaczenie ma ta informacja dla działających w skromnych warunkach Kół Gospodyń Wiejskich? Czy ich doświadczenie, znajomość prawa i procedur uczyni je aktywnymi ich dysponentkami?

Czesława Długoszek, Objazda



Fot. J. Maziejuk

dzających działalność gospodarczą. Wiedza prawna w tym zakresie daje możliwość pozyskiwania środków na własną działalność. Poza tym znajomość podstaw prawnych prowadzonej przez KGW działalności jest ważnym elementem podstawowej społecznej edukacji prawnej. Natomiast bez względu na status organizacyjny KGW określają własne regulaminy, uznając za jedno z ważnych zadań własnych kultywowanie kultury ludowej, szczególnie regionalnej.

Na VIII Powiatowy Turniej koła przygotowały jako zadanie turniejowe prezentację własnego dorobku. Prócz solidnie, starannie i pomysłowo wykonanych tablic jurorzy ze Zbigniewem Babiarszym-Zychem, naczelnikiem Wydziału Polityki Społecznej ze Starostwa Powiatowego Słupska i Marzanną Mazur, etnografem z Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku oceniali słowną prezentację. Zatem poddano ocenie śpiewane i wierszowane sprawozdania z działalności. Laureatem zostało KGW Dolina Łupawy. Zwycięstwo przyniosło wykorzystanie obręczy koła rowerowego ze

został jako symbol kulturowej przemiany na wsi? Dawno zniknęły różnice w ubiorze kobiet, młodzieży, mężczyzn ze wsi i miasta. Być pod kapeluszem, brzmiało po pańsku dawniej, teraz mało kto wie, co to znaczy. Wyszły z użycia metaforyczne zwroty „dostać kapelusz”, czyli narazić się na wymówki czy „włożył mu kapelusz na uszy”, co znaczyło: zbił go z tropu. Poza tym kto dziś ugania się za kapeluszem, chyba grzybiarze podczas grzybobrania. Prawdziwą zagadką były kryteria, jakimi jurorzy oceniali prezentowane kapelusze. Koło KGW z Objazdy zaprezentowało kapelusz - morze, z kutrem rybackim na głowce i siecią z rybkami zamiast woalki. Kalosze i niebieska sukienka z falbanami były uzupełnieniem prezentacji. Podobnym pomysłem było zaprezentowanie łabędziego gniazda. Wygrał kapelusz z papierowych wachlarzy prezentowany przez zgrabną modelkę w „małej czarnej”. Mnie też dziewczyna przypadła do gustu. Ale dlaczego wygrał papierowy kapelusz, dalibóg, nie wiem.

Próbując zrozumieć sens turniejowych zadań poszukiwałam informacji o społecz-

Czy może zachwycić książka o cmentarzach? Krystyna Mazurkiewicz-Palacz, autorka publikacji „Dawne cmentarze w powiecie słupskim”, już we wstępie sygnalizuje czytelnikom, czym według jej zamysłu miało być nowe regionalne opracowanie. To nie tylko świadectwo historii naszego regionu, jego bogatych tradycji i kultury, ale także zapis zachodzących wokół nas przemian i próba zachowania dla kolejnych pokoleń tych elementów, które określały tożsamość mieszkańców ziemi słupskiej. Książka nie należy do tego rodzaju publikacji, które czyta się od pierwszej do ostatniej strony jednym tchem. To rodzaj dokumentu, którego celem jest nie tylko zachowanie śladów kulturowego dziedzictwa - cmentarzy powstałych w XIX i na początku XX wieku. Autorka postawiła sobie cel bardzo ambitny: dokumentowanie tego, co jeszcze zostało z czasów, gdy dawne cmentarze były miejscem pochówku mieszkańców i stanowiły ważny element infrastruktury regionu. Pokazuje fragmenty starych nekropolii, opisuje ich lokalizację, ale także - i to zasługuje na szczególne podkreślenie - umiejętnie i

Powstało jednolite opracowanie będące w dużej mierze efektem badań i poszukiwań autorki, jak również wykorzystania istniejących źródeł traktujących o najnowszej historii powiatu słupskiego

Więcej niż świadectwo historii



Fot. J. Maziejuk

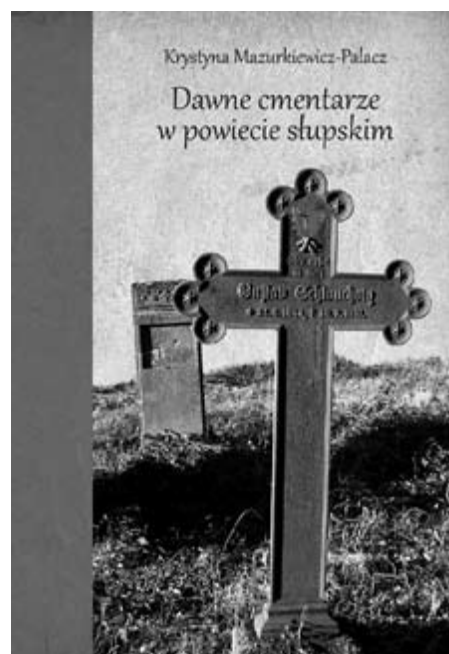
odeszli powinna odzwierciedlać wdzięczność tych, którzy ich dzieło kontynuują. Pomimo zawilej i często bolesnej historii naszego regionu.

Dawne cmentarze powiatu słupskiego zostały zaprezentowane w układzie chronologicznym dzisiejszych gmin. Mamy zatem zestawienie pozostałości nekropolii w gminach: Damnica, Dębica Kaszubska, Główny, Kępice, Kobylnica, Potęgowo, Smołdzino, oraz miasta i gminy Słupsk, a także miasta i gminy Ustka. Niewątpliwym waleorem opracowania jest załączona dokumentacja kartograficzna pokazująca lokalizację cmentarzy w okresie, gdy spełniały one rolę miejsc pochówku dawnych mieszkań-

ców tych terenów. Dzisiejszym, polskim nazwom miejscowości towarzyszą ich wcześniejsze, niemieckie odpowiedniki. Autorka opisuje lokalizację i czas powstania poszczególnych cmentarzy, co wymagało cierpliwej i czasochłonnej pracy i pogłębionych studiów w tym zakresie. Powstało jednolite opracowanie będące w dużej mierze efektem badań i poszukiwań autorki, jak również wykorzystania istniejących źródeł, traktujących o najnowszej historii regionu powiatu słupskiego. W przypadku wielu cmentarzy czytamy nie tylko o ich lo-

kalizacji, ale także o pochowanych na nich członkach znanych rodzin, które tworzyły historię ziemi słupskiej. Bogata dokumentacja fotograficzna przenosi czytelników do opisywanych w książce miejsc pamięci. Zdjęcia przedstawiają kamienne stele, nagrobne krzyże, płyty, figury i fragmenty starych kaplic. Dokładne oko dokumentalistki dostrzegło również takie elementy jak drzewostan, wśród którego znajdują się pozostałości dawnych cmentarzy.

kalizacji, ale także o pochowanych na nich członkach znanych rodzin, które tworzyły historię ziemi słupskiej. Bogata dokumentacja fotograficzna przenosi czytelników do opisywanych w książce miejsc pamięci. Zdjęcia przedstawiają kamienne stele, nagrobne krzyże, płyty, figury i fragmenty starych kaplic. Dokładne oko dokumentalistki dostrzegło również takie elementy jak drzewostan, wśród którego znajdują się pozostałości dawnych cmentarzy.



Książka Krystyny Mazurkiewicz-Palacz bez wątpienia wzbogaca listę regionalnych publikacji i zasługuje na uwagę nie tylko miłośników historii.

Piotr Sikorski, Słupsk

Długi zapis niezwykle

Pod takim mniej więcej tytułem, jaki nadałem temu tekstowi, ukazał się przed pięć laty na łamach „Powiatu Słupskiego” - w bardzo skróconej, ze zrozumiałych względów, wersji publicystycznej - jeden z moich książkowych szkiców sylwetek i dokonań wartych upamiętnienia ludzi miasta i regionu.

Pozwolą Czytelnicy, iż przywołam dziś w naszym piśmie (gwoli szczególnych powodów, o których trochę później) kilka jego fragmentów.

Wiek? Dość uzmysłwić sobie, że wcale nie z opowiadań dziadków czy rodziców, a z własnej, dziecięcej wprawdzie autopsji - całkiem wyraziście pamięta początek końca I wojny światowej, rewolucję na wschód od zabużańskich kresów RP i już nieco bliższe nam zmagania Odrodzonej w wojnie polsko-bolszewickiej 1919 - 1920. Gdy piszę te słowa, wkroczy ona - pani Maria Komarczewska z Główczyca, bo o niej tu mowa - w 96. Annus Domini lub, jak kto woli, jesień życia.

I dalej - krótkie „wypisy” z CV bohaterki szkicu.

Opuszczając w 1931 seminarium nauczycielskie parę kilometrów za rodzimym - z dziada, pradziada - Lwowem, nie myślała, że aż do wybuchu drugiej wojny światowej XX wieku. i wkroczenia tam 17 września 1939 roku Sowietów będzie bez jakiegokolwiek pracy. Ukraińsko-rosyjska większość na prowincji darzyła Polaków nieukrywaną

Pozostanie jednak Maria Komarczewska wspomnianą już żywą legendą z Główczyca i w ogóle małej ojczyzny przy ujściu Słupi



Fot. Zbiory własne DM

antypatią, często nawet wrogością. Uczyła więc po kryjomu, choć groziło to surowymi, brutalnymi wręcz sankcjami. Również - mimo obaw przed łagrem - w trakcie dwupółmiesięcznej wszechwładzy NKWD we Lwowskiem. Ba! Także - z czasem, rzecz jasna - w Średniej Wsi i Choczewie koło Leska, dokąd współsygnatariusze paktu Ribbentrop-Mołotow wygnali ją wraz z rodziną, a gdzie mogła prowadzić sołeckie czteroklasówki, z tym że bez obwarowanych restrykcjami

karnymi „przedmiotów politycznych” (historia, geografia, literatura i... mowa ojczysta). Odrabiała jednak zaległości na tzw. tajnych kompletach.

Wiosną 1947 ściągnęła za „lepszym” (przez dwie dorastające córki) oraz bezpieczniejszym i pewniejszym (?) do Glinek Mokrych koło Szczecinka. Nieźle jej się w tych Glinkach, mimo zaiste pionierskiej harówki, wiodło. Z biedy wreszcie się otrząsnęła, córki - Darię Anastazję i Lidę - wy-

Klinika książek

Każda książka ma swoje życie. Trzeba się tylko z nimi delikatnie obchodzić i szanować, nie tylko autora, ale także ludzi, którzy przedłużają jej żywot

Co się dzieje z książkami, które na skutek upływu czasu i niewłaściwego traktowania przez użytkowników uległy zniszczeniu? Wielu z nas pomyśli: jeżeli stare i podarte - to do kosza! Technika naprawy i praca introligatora potrafią zdziałać cuda. Po liftingu książki wyglądają jak nowe. O ich roli w życiu człowieka można pisać długo. Towarzyszą nam niemal od zawsze. Niezależnie od tego, czy była to gliniana tabliczka, czy papirus. Często mówi się, że uczą, bawią i wychowują. Prawie każdy, zgodzi się z tym, że książki są źródłem wiedzy o otaczającym nas świecie. W nich szukamy potrzebnych informacji, niezależnie od tego, ile mamy lat. Kiedyś, tylko ludzie uczeni potrafili się posługiwać książkami. Dzisiaj są tak powszechne, jak prawie codzienny chleb. To od nas samych zależy czy chcemy do nich zaglądać często, czy od „wielkiego dzwonu”. Gdy finanse nie pozwalają na ich zakup, dobrą alternatywą pozostają biblioteki lub czytelnie.

Czytanie książek jest ciekawym zajęciem w czasie nudy, a także oderwaniem od codziennej rzeczywistości. Bierzymy je

do ręki i zanurzamy się w innym świecie. Prawie każdy ma czasem dosyć rzeczywistości, codziennej bieganiny za pieniądzem i sięga po lekturę, przenosi się w świat dobra, szczęścia, miłości. Razem z bohaterami przeżywa ich radości, zmartwienia i smutki. Dzięki książkom potrafimy także lepiej się wysławiać i poprawnie budować zdania. Należy jednak pamiętać, że książki, jako przedmiot użytkowy podlegają ciągłym procesom zużycia, które z kolei są potęgowane przez niedbalstwo i niewłaściwe obchodzenie się z nimi. Pamiętajmy, że są one przede wszystkim nośnikami wiedzy i doświadczenia, które są owocem ciężkiej pracy wielu ludzi, przez to są niezwykle cenne i zasługują na szacunek. Cel działań introligatorów jest jeden - nie wyrzucać, naprawiać i podarować drugie życie książce. Ratownikami są znawcy sztuki.

Takimi skromnymi artystkami, które pracują w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku są panie - Barbab Puczyńska i Wiesława Kułakowska, które na co dzień trudnią się ręcznym oprawianiem różnych wydawnictw. Efekty ich pracy to prawdziwy

Fot. J. Maziejuk

...j lekcji... nauczania

kształciła w wielkopolskim Pedagogicum. Darii zamarzył się drugi fakultet - farmacja. Z dyplomem Akademii Medycznej udała się w roku 1959 (wkrótce 50- i 55-lecie pracy zawodowej, i to w tym samym Domu Leków!) do Głównicz, żeby objąć w tej sporej wsi między Słupskiem a Lęborkiem starą, zaprzyjaźniającą aptekę poniemiecką z dużym mieszkaniem i przydomowym ogrodem. Pani Maria dała się namówić córce. Podjęła trzecią w swoim długim życiu pracę zawodową w szkolnictwie - w główniczkiej Szkole Podstawowej, w hołubionych przez siebie od zawsze klasach I - IV („Kocham, ubóstwiam wręcz paroletnie dzieci”) i drobnym „okładem” ZPT w „zaniedbanych” klasach starszych...

Tak zleciało - Boże, w jakim tempie ten czas leci!.. - do emerytury w Roku Pańskim 1971. Jak powiedziałby Federico Fellini, drugie ćwierćwiecze dolce far niente seniorki główniczkiej pedagogów osiągnie „półmetek”. Owe dolce far niente (słodkie nicnieróbstwo; mniej frywolnie: przyjemny odpoczynek w ciszy i spokoju po trudach długoletniej, wyczerpującej pracy) to zły cytat w odniesieniu do bohaterki publikacji, biję się w pierś! Maria Komarczewska do dzisiaj przecież gości przy różnych okazjach w usytuowanej po sąsiedzku szkole - teraz podstawówce i gimnazjum. Prawie co dzień towarzyszy mgr Darii Maciejczyk w biurowej obsłudze prowadzonej 48 lat apteki „Pod Wagą”. Wspiera córkę, z

wnukami i prawnukami m.in. w... robotach ogrodowych. Non-stop, przy tym pełna wigoru, urzekająca wyjątkowo miłym sposobem bycia i obcowania z ludźmi, kiedy tylko się z nią zetkną - spontanicznie wesoła, uśmiechnięta. Ewenement? Hm...

Może i takie pozorne drobiazgi warto odnotować - usłyszałem podczas spotkania w Urzędzie Gminy. - Wśród wychowanków jest kilkunastu w sumie dziennikarzy, sołtysów (również w Glinkach Mokrych!), dawnych „notabli” w słupskim Famarolu, Sezamrze i Scanii-Kapenie oraz circa 35 - tak, tak, według porzekadła „Jaką bronią walczysz, od takiej zginiesz” - pedagogów, w tym pięciu w Główniczach, ośmiu w grodzie nad Słupią. I to wzruszająco czułe, szacowne „Dzień dobry” mijanych byłych uczniów z ich dziećmi i wnuczętami...

*

Więcej, o wiele więcej, Pani Mario, rzeczonych przeze mnie „jesieni życia” w niezmiennym zdrowiu i pogodzie ducha niż Bóg obdarował prawie 108-letnią seniorkę główniczczan oraz wszystkich Polonusów (jak ustaliłem kiedyś dzięki pomocy Anny Nowosieleckiej-Cur z biura ewidencji ludności UG i o czym szerzej wspominałem w pisarskich konotacjach pt. „Żywa legenda regionu nad Słupią”, w rozdziale wg autora sztuki „Drzewa umierają stojąc”) Bronisławę Jakutę! - życzyłem wtedy swojej interlokutorce.

Post scriptum. Wiosną 2011 spełniły się w części owe życzenia sprzed lat: Maria Komarczewska obchodziła setną rocznicę urodzin, tradycyjnym zwyczajem w pobliskim Zespole Szkolno-Przedszkolnym. Została tam zaproszona jako gość specjalny przez dyrektorkę Danutę Maj z grupami (artystycznymi!) uczniów i wychowanków, przez liczne grono byłych nauczycieli i absolwentów dawnej Szkoły Podstawowej, jak również przez gospodarzy gminy - wójta Teresę Florkowską i przewodniczącego Rady Gminy Michała Matkowskiego. Wzruszające spotkanie z Jubilatką trwało kilka godzin i zwięźliły je - przy morzu wspomnień z łezką w oku - prawdziwe góry kwiatów oraz śpiewy i toasty za „kolejne 100 lat” w ciągłym zdrowiu i niezmiennej pogodzie ducha.

Życzenia, niestety, mało kiedy w całości się spełniają. Tak - za poetą - „Pan nad pany” zrządził i tym razem. Jubilatka przegrała „walkę z czasem” o 6 zmierzschów vis vitalis prędzej niż najsędziwsza z ziemianek i rodaczek. Sicut vita (ot, życie)... - spuentowała by historię Rzymianin, ten z lat dawnej świetności Imperium Romanum.

Pozostanie jednak Maria Komarczewska wspomnianą już żywą legendą z Głównicz i w ogóle małej ojczyzny przy ujściu Słupi. Jestem tego pewien. Nie tylko ja - myślę.

Jerzy R. Lissowski, Słupsk



majstersztyk, zwłaszcza, że zajmują się tym już blisko 34 i 40 lat. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że introligatorów czynnie wykonujących swój zawód w Słupsku, jest zaledwie trzech. Proces doprowadzania każdej „zepsutej” książki do stanu używalności jest długi, żmudny i wymagający wielu predyspozycji. Przede wszystkim ogromnej cierpliwości i zwinnych dłoni.

Jak on przebiega? Otóż, na samym początku, używając języka branżowego, trze-

ba książkę oczyścić ze starego kleju, uzupełnić braki i wszelkie rozdarcia. Następnie od nowa ją zszyć. Czynność ta, nazywana jest oprawą wtórną. Mogłem na własne oczy zobaczyć, jak przebiega ten proces. Będąc na miejscu, miałem szczęście patrzeć jak nowego życia doświadcza „Pan Tadeusz” z 1950 roku. Nożyce introligatorskie są niezbędne w procesie ratowania książki. Po zszyciu należy ją obciąć, ponieważ na tym etapie staje się nierówna. Po wykonaniu tej czynności książka wygląda jak nowa. Docina się jeszcze grzbiet i okładkę, używając okleiny, zwanej introkalem. Maszyna, która to wykonuje znajduje się w zasobach słupskiej biblioteki od 1971 roku i cały czas jest w użyciu. Pani Wiesia i Basia, w cichości marzą o gilotynie pneumatycznej, gdyż jak podkreślają: „praca z tego typu maszyną, wymaga nie lada sił, a latka leć”. Jak zgodnie twierdzą, twarda, szyta oprawa wtórna, trzyma książki bardzo długo. Pani Kułakowska z dumą i zadowoleniem w głosie podkreśla, że książki wracają do niej, najczęściej po ponad dwudziestu latach. Pani Barbara uzupełnia: „To dzięki nam trzymają się tak dobrze.”

Jak można wyrazić w liczbach pracę słupskich introligatorek? Każdego dnia „wychodzą” dwie odrestaurowane książki, a średnia miesięczna wynosi około 60 tytułów. „To nasza norma” - twierdzą. Rzeczywiście, można tylko pogratulować włożonego wysiłku, serca i bardzo pożytecznej pracy. Dlaczego warto ratować stare książki? Pani Barbara ma na to jedną odpowiedź: „nasi czytelnicy mają ogromny sentyment do książek, zwłaszcza wartościowych. Ludzie pracują przy komputerach. To niezaprzeczalny fakt. Ale po pracy, nie ma nic przyjemniejszego jak wziąć do ręki książkę swojego ulubionego autora. Zatościć się i do woli smakować. Zapach, szelest kartek... To niesamowite przeżycie.”

Dzięki spotkaniu z tymi sympatycznymi kobietami dotarło do mnie, że każda książka ma swoje życie. Trzeba się tylko z nimi delikatnie obchodzić i szanować, nie tylko autora, ale także ludzi, którzy przedłużają jej żywot. Dzięki subtelnej obchodzeniu się z nimi, piękno zostaje przekazywane następnym pokoleniom.

Jacek Kopyłowski, Słupsk

Szczególnie ucieszyła mnie spowiedź młodzieży. Ksiądz wygłosił także bardzo mądre kazanie, z którego wskazówki wprowadziłam do swojego codziennego życia

Niezwykły dzień w roku

Zakończył się rok 2012. Czym różnił się od poprzednich lat? Szczególna różnica - to szumnie zapowiadany koniec świata, bo na 2012 roku kończył się kalendarz Majów. Ta wieść budziła różne uczucia, przeważnie trwogę. Bogu dzięki, że tak się nie stało, chociaż koniec świata (moim zdaniem) przybliżają sami ludzie swoimi szkodliwymi działaniami na rzecz środowiska. Miał ten rok jednak jeszcze jeden znak bardzo ważny - był rokiem odrodzenia i wzmocnienia wiary chrześcijańskiej - rokiem ewangelizacji. Była to już trzecia taka inicjatywa za Pontyfikatu papieża Benedykta XVI. Pierwsza - to Rok św. Pawła (2008-2009) druga - Rok kapłaństwa (2009-2010). Miniony rok za słowami papieża Benedykta XVI miał służyć pogłębieniu nauki katechizmu Kościoła, pokazać światu piękno i istotę naszej wiary. Miał sprawić, że współczesny, zagoniony człowiek, odnowi i przeżyje swoją wiarę w modlitwie św. Eucharystii, skorzysta z szansy na wyprostowanie swojej ścieżki życia. Wiara daje bowiem pewność, a ta sprawia, że stabilniejsze staje się życie.

Moja skromna miejscowość Małęcino doczekała się też ewangelizacji. Stało się to w niedzielę 12 sierpnia 2012 roku. Ksiądz proboszcz

Świerzno - Dariusz Rataj przyjechał z grupą kompetentnych osób i wolontariuszy. W grupie tej były dwie siostry zakonne - Maria Zalewska ze Słupska i Ewa Burzała z Włocławka, kleryk Mateusz Chielewski z Miastka, pani Jolanta Sławińska z Koszalina oraz młodzież koncertująca z Czarnego: Daria i Dawid Totkiewicz, Joanna Kozłowska, Ilona Ostroch i Karol Lewandowski ze Świerzna. Z Białogardu przyjechał ks. Bogusław Fortuński. Młodzież zatrzymała się przy krzyżu, a księża z siostrami i pani Jolanta rozpoczęli wizyty wśród mieszkańców. Młodzi usiedli przy krzyżu na ławkach, wyciągnęli instrumenty i zabrzmiął radosny śpiew różnych pieśni ludowych. Kleryk Mateusz bardzo szybko zgromadził wokół siebie młodych. Wystarczyło, że podkasał sutannę i zaczął wywijać piłką nożną.

W moim domu odbyła się miła rozmowa z panią Jolantą dotycząca nie tylko wiary, ale także codziennego życia, zakończona wspólną modlitwą. O godzinie 17-tej rozpoczęła się masa święta. Śpiew przy wtórze gitar w trakcie mszy sprawiał ogromną radość i pozostawił na długo miłe wspomnienia. Ks. Bogusław, oddalony od krzyża na krzeselku zastępującym konfesoną, spowiadał. Szczególnie ucieszyła mnie spowiedź młodzieży. Wygłosił także bardzo mądre kazanie, z którego wskazówki wprowadziłam do swojego

codziennego życia.

Po zakończeniu mszy św. wszyscy udali się na boisko. Tam zorganizowaliśmy dla uczestników kielbaski z grilla, bułki i napoje. Boisko to szumnie powiedziane. W Małęcinie nie ma praktycznie miejsca na zorganizowanie zabawy dla dzieci. Ziemia wokół wykupiona. Pan Żmudziński z Kamnicy, który uprawia to pole (nie wiem czy jego własne czy dzierżawi) zostawił kawałek wolny do gry w piłkę...

Nie byłam tam z gośćmi, bo przygotowywałam pierogi na kolację. Słyszałam muzykę i radosny wspólny śpiew, a całą zabawę zobaczyłam później nagrany przez sąsiadkę. Podziwiałam siostry, księży za to, że potrafiliby wszystkich wciągnąć do zabawy i modlitwy.

Wszyscy wrócili pod mój dach na poczęstunek, jak już było ciemno. Tu czekały ciepłe pierogi, sernik, ambasador oraz herbatka. Z obsługą sprawnie uwinęły się młodsze sąsiadki.

Myślę, że w miarę naszych możliwości godnie przyjęliśmy gości i godnie przebyliśmy ewangelizację naszej miejscowości. Oby jej owoce stały się trwałe. Był to jeden taki zwykły - niezwykły dzień.

**Eugenia Ananiewicz
Małęcino**

Wielu mieszkańcom Słupska zrobiło się żal na widok ścinanego w ubiegłym roku wiekowego drzewa w parku pomiędzy ulicami Szarych Szeregów i Partyzantów. Stary buk mógł mieć nawet 200 lat. Jednak z powodu przegniłych korzeni i pustego pnia zagrażał mieszkańcom. Przyzwyczailiśmy się do widoku dumnego drzewa dającego cień w słoneczne letnie dni. Drzewo umarło stojąc, pozostawiając puste miejsce. Trzeba będzie wielu lat, by jakiś inny dorodny okaz godnie je zastąpił. Przyszło mi na myśl inne stare drzewo, które widziałem podczas podróży na Kretę. Oliwka pamiętająca czasy ewangeliczne zadziwia swoim kształtem, a także tym, że wciąż rodzi owoce. Podobnie jak inni miłośnicy podróży, odliczam dni zimowego uśpienia, planując nowe wyprawy, bliższe i dalsze. Niekiedy nadarza się nam okazja, by w miejscu urlopowego wypoczynku odnaleźć ciekawe, historyczne, a nawet ewangeliczne ślady.

Fot. P. Sikorski

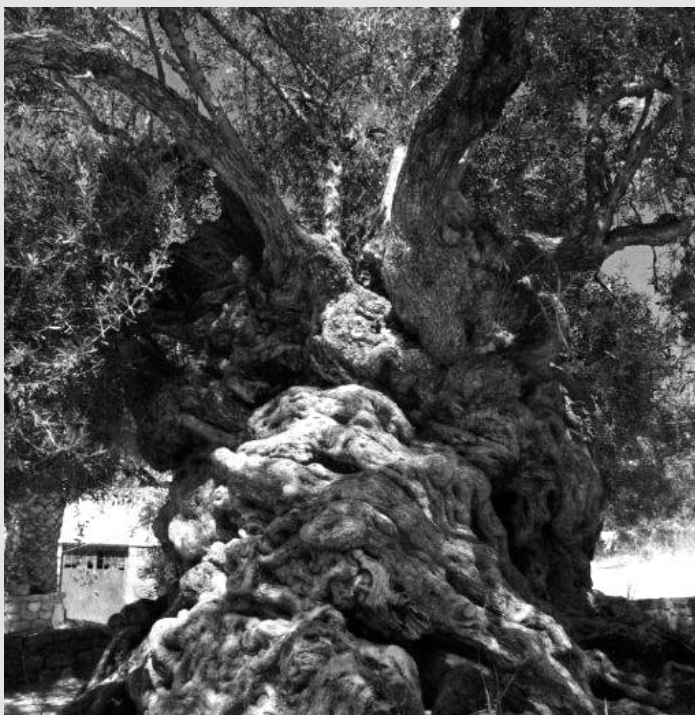


Drzewa też umierają

Niekiedy nadarza się nam okazja, by w miejscu urlopowego wypoczynku odnaleźć ciekawe, historyczne, a nawet ewangeliczne ślady

Kreta jest kolorowa. Takie było moje pierwsze skojarzenie, pomimo ziemi miejscami wypalonej południowym słońcem. Nie ma tam zielonych od soczystej trawy łąk, szumiących lasów i innych, typowych dla umiarkowanego klimatu widoków. Jednak ta grecka wyspa oferuje inne bogactwo. Domostwa oplatają bugenwille w kolorach od różowego i purpurowego, przez pomarańczowy i żółty, aż do białego. Z drewnianych konstrukcji mających dawać cień w upalne dni zwisają ich dorodne bukiety, wszędzie pełno czerwonych, białych i różowych oleandrów i hibiskusów. A to wszystko na tle czerwonej ziemi i błękitu nieba oraz wód Morza Śródziemnego.

Żeby jednak poznać prawdziwy smak Kreta, należy porzucić na dzień lub dwa ciepłe plaże i słodkie far niente zamienić na wycieczkę w głąb wyspy. Dopiero tam można zobaczyć pomarańczowe sady, kaniony wyrzeźbione w wapieniach pasma Lefka Ori (Białe Góry), zobaczyć jak tłoczy się oliwę (prawdziwe tłoczenie zaczyna się po jesiennych zbiorach), a także obejrzeć drzewa oliwne, którymi szczytują się Kreteńczycy. Drzewo uznawane za najstarszą oliwkę na świecie rośnie w centrum niewielkiej wioski Vouves. Ma niewiarygodnie poskręcany pień (pusty w środku) i wciąż wypuszcza gałązki z zielono srebrzystymi



Fot. P. Sikorski

mi listkami. To właśnie drzewa oliwne porastające wzgórza kretańskich gór robią takie niesamowite wrażenie i przenoszą nas do apostołskich czasów, gdzie w cieniu podobnych ogrodów Jezus odpoczywał wraz ze swoimi uczniami. Kreta to także miejsce związane z apostołską działalnością świętego Pawła. To tu trafił podczas swojej ostatniej podróży do Rzymu, już jako więzień. Ciekawostką jest również fakt, że niektóre małe kościoły w trudno dostępnych górskich obszarach są czynne tylko raz w roku - w święto ich patrona.

Tak więc wakacyjny odpoczynek warto łączyć z poznawaniem, a także kontemplacją nawet najmniejszych biblijnych śladów. Jeśli uważnie rozejrzemy się po naszej własnej okolicy, z pewnością zauważymy wiele atrakcyjnych miejsc. By przeżyć wspaniałą przygodę i doświadczyć bliskości historii, wcale nie musimy jechać na drugi kraniec Europy.

Piotr Sikorski
Słupsk

Poszukuję twórców, jeszcze nie odkrytych, może nie w pełni zaawansowanych, ale przebijających się swoją twórczością do odbiorcy. W dotarciu do tych szczególnych osób zawsze towarzyszą mi emocje i tajemnica niesamowitego odkrycia.

Mnogość twórców jest zaskakująca, a ich zróżnicowanie wynika nie tylko z uprawianej dziedziny sztuki. Tworzenia w różnej materii, ale też od stopnia zaawansowania artystycznego. Najważniejsze jest jednak ujawnianie anonimowych jeszcze artystów i eksponowanie ich potencjału twórczego - talentu, który ma już przełożenie na określone dzieła, czyli wymiar twórczy. Przyjmując takie kryterium trudno od razu ocenić trafność wyboru właściwego twórcy, którego się jeszcze tak dokładnie nie zna, a poprzez zamiar poznania uprawianej twórczości, dokonać odkrycia artysty i jego dzieła.

Szczególną sferą w twórczości jest „osobliwa dusza” artysty, która inspirowa go do realizacji kolejnego dzieła. Zamiarem jest też odkrywanie i zgłębianie zakamarków ludzkiej osobowości i to nie tylko dla ujawniania psychologicznej motywacji do podejmowanych działań, ale poznania nośnika czasem jeszcze nie zrealizowanej idei, która określa przyszłość artystyczną twórcy.

Kierując się mottem: „sztuka jest zwierciadłem życia artysty” podejmuję próbę przybliżenia Tomasza Popławskiego jako artysty jeszcze nie do końca określonego, którego twórczość ewoluuje między malarstwem poszukującym swojego stylu i miejsca, a zawodowymi czynnościami związanymi z ceramiką artystyczną.

Tomasz Popławski to twórca żyjący i mieszkający na ziemi słupskiej w miejscowości Skórzyno, w gminie Główny, na krańcach powiatu słupskiego. Reprezentuje pokolenie twórców, którego bogactwo zainteresowań i różne upodobania poszukiwawcze są ciągle doskonalone, a życie osobiste ma odzwierciedlenie w sztuce. Tomasz urodził się w 1969 roku i swoje zainteresowania artystyczne kształtował w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach, którego jest absolwentem. Meandry jego życia spowodowały, że zostawił istotną jego część na Śląsku, później przez dziesięć lat prowadził pracownię ceramiczną założoną z kolegą w Krakowie i wreszcie przywędrował na pustkowie w pobliżu słowińskiego półwyspu. Tutaj przeżywał swoje szczęśliwe chwile osobiste i twórcze. Od 1999 roku młode mał-

Ten od „siu bździau”

Wydaje mi się, że w moim życiu coś się kończy a zarazem coś nowego zaczyna. Bardzo to odczuwam. Czuję, że może dopiero teraz wkraczam w dorosłość



żeństwo Violetty i Tomasza Popławskich podjęło decyzję porzucenia wielkomiejskiego środowiska i przeniesienia się na głęboką prowincję ziemi słupskiej. Tutaj oddają się pasji tworzenia. Założyli we wsi wiejską

galerię plastyczną. Uwieńczeniem ich ówczesnego życia było przyjście na świat synka zdrobniale nazywanego Tuniek.

Efekty twórcze tego okresu można było podziwiać po raz pierw-

szy na zorganizowanej wystawie malarstwa i ceramiki Tomasza i Violetty Popławskich w małej galerii Słupskiego Ośrodka Kultury przy ulicy Braci Gierymskich w 2003 roku. Wystawa podsumowująca dorobek artystyczny małżeństwa zaprezentowała 44 obrazy i 38 prac ceramicznych. Była to seria prac o dzieciach i dedykowana dzieciom (aniołki, misie, dzidzusi, kacuszki). Inspiratorem tego malarstwa na pewno był synek Tomasza. Prace są barwne i zabawne, charakterystyczne dla stylu autora. Pokazano też wiele obrazów poświęconych środowisku wiejskiemu i najbliższemu otoczeniu („Kapela regionalna I i II”, „Koza w Klukach”). Odrębną ekspozycję stanowiły kopie obrazów „mistrzów”, które Tomasz wykonał posługując się oryginałami.

Poszerzona o nowe tematy malarskie i ceramiczne wystawa Tomasza Popławskiego miała miejsce w styczniu 2006 roku w galerii ATELIER znajdującej się przy alei Henryka Sienkiewicza w Słupsku. Wystawa zainaugurowała działalność tej placówki. Można było zobaczyć ponad 40 obrazów - niezwykle barwne akryle, oleje i prace wykonane techniką łączoną. Zostały zaprezentowane pomysłów obrazy, dowcipne, pełne żartu, ironii, twarze sympatycznie zdeformowanych maluchów - są niezwykle kolorowe i przywodzą na myśl dziecięce obrazki. W prasie lokalnej ukazało się kilka artykułów informujących o wystawie. Jej charakter trafnie oddają tytuły: „Wejście w świat dziecka”, „Natchniony jak dziecko”. Drugi cykl obrazów dotyczył życia ludzi dorosłych. Są to karykaturalne postacie, mocno zdeformowane twarze osób dorosłych i czasem odrażające, brzydkie, odkształcone kobiece ciała. Wystawa przedstawiała prace powstałe w ciągu ostatnich pięciu lat.

W maju 2008 roku Tomasz Popławski otrzymuje stypendium Starosty Słupskiego na zorganizowanie wystawy malarstwa i ceramiki pt. „Pokręciło mi się w głowie”. Nowe obrazy wykonane po przejściach i doświadczeniach osobistych artysty prezentują ten sam oryginalny styl i przedstawiają określoną rzeczywistość, w której się znalazł artysta, np. „Czubki na spacerniaku”. Wiele zaprezentowanych obrazów na wystawie malowanych było w czasie pobytu w szpitalu psychiatrycznym lub w okresie rekonwalescencji.

Obecnie Tomasz Popławski jest sam i czas swój dzieli na pracę zawodową oraz prowadzenie gospodarstwa na wsi, gdzie swoje osobiste życie realizuje w kontakcie z naturą. Zawodowo zatrudniony jest jako instruktor garncarstwa w Pracowni Ceramicznej Słupskiego

Ośrodka Kultury, gdzie pracuje od początku jej istnienia, tj. od 2004 roku.

Początek naszej znajomości miał spontaniczny charakter. Kiedy zwróciłem się do niego z prośbą o rozmowę i przedstawienie swoich osiągnięć artystycznych, poczuł się zaskoczony, zażenowany, a później odpowiedział: „Wydaje mi się, że w moim życiu coś się kończy a zarazem coś



nowego zaczyna. Bardzo to odczuwam. Czuję, że może dopiero teraz wkraczam w dorosłość, dojrzałość. W tej chwili na życie patrzę z jakiejś perspektywy, z większym spokojem, dystansem. Dzięki temu co miało miejsce, co przeszedłem w życiu i nadal przeżywam, bardziej dotarłem do siebie. Obecnie nabrałem jeszcze większej poko-

wań. Jest bardzo komunikatywny i od razu wzbudza zaufanie. Jego osobowość można określić jako nadwrażliwą, poszukującą swojego miejsca nie tylko w sztuce, ale i w życiu codziennym. Sam o sobie mówi: „Jestem technikiem plastykiem, absolwentem PLSP w Katowicach, kierunku kowalstwo artystyczne. Urodziłem się 44 lat temu na Kujawach w Inowrocławiu. Obecnie mieszkam samotnie w Skórzynie i tam na mnie oczekują po pracy w Słupsku moi czworonożni przyjaciele - pies i dwa koty. Kiedyś byłem ogarnięty pasją tworzenia, lubiłem fajne samochody i szybkie kobiety. Nie stroniłem od seksu i alkoholu, a piesze wycieczki mnie nudziły.”

Tomasz Popławski sam powiedział i obwołał się prezesem słupskiej grupy artystycznej „SIU BZDZIU”, charakterystycznej dla lokalnego środowiska słupskiego. Jest to określona prowokacja psychologiczna, a mniej artystyczna. Wiele tu naśladowania Witkacego. Poprzez udział w konkursie „Witkacy pod strzechy”, zorganizowanym przez Teatr Rondo SOK we wrześniu 2011 roku zapewnił sobie otrzymanie prestiżowej nagrody, między innymi za obraz „Awtoportret plus niezidentyfikowane pasożyty”, namalowany krótko przed chorobą. Jego życie artystyczne to ciągle poszukiwanie nowych wyzwań, wykorzystywanie talentu i określanie swego miejsca w sztuce. Artysta uprawia różne dziedziny sztuki. Malarstwo jednak stanowi live-motive jego życia, bo tą dziedziną zajmował się od najmłodszych lat.

Zainteresowanie plastyką Tomasza Popławskiego sięga lat dziecięcych. Można dziś powiedzieć, że tworzenie jest pasją życia, wyrażeniem nagromadzonych emocji. Można ocenić, że tematem prac jest otaczająca artystę rzeczywistość, to co się gromadziło w jego duszy i miało później wyzwolenie w ekspresji malowanego dzieła. Pierwsze jego prace, gdy jeszcze nie uczęszczał do szkoły średniej, to miniatury rysunki postaci ludzkich, nazywanych pieszczotliwie „ludzikami”. W szkole średniej poszerza swoje zainteresowania historią sztuki, mimo że uczy się kowalstwa artystycznego. Dziś wspomina swoje zafascynowanie impresjonizmem - A. Renoirem, C. Monetem, A. Gierymskim. Później



ry. W szukaniu drogi do siebie być może pomogła mi twórczość.”

Postać tego artysty zaciekawia mnie swoją spontanicznością i ekspresją zachowań.

poznał twórczość jeszcze w tym czasie żyjących - J. Dudy-Gracza i Z. Beksińskiego. Na bazie tych zainteresowań podjął się malowania kopii dzieł uznanych artystów, które były prezentowane na wystawach i wzbudzały dużą ciekawość. Szczególne miejsce w zainteresowaniach młodego malarza miała twórczość J. Dudy-Gracza, którego jest wielkim miłośnikiem. Poświęca czas wykonując kopie jego kilku dzieł - „Ojciec i syn”, „Siedzący krakowiak”, „Wieża Babel”. Równolegle podejmuje się projektowania i wykonywania naczyń z ceramiki użytkowej i artystycznej. Zdobywa doświadczenie w tym zakresie poprzez prowadzenie własnej pracowni ceramicznej. Dziedzina ta ze względu na zarobkowych pochłaniała dużo czasu i tym samym ograniczała malowanie.

Z ciekawością oglądałem wystawę prac uczestników szkolenia prowadzonego przez Tomasza Popławskiego jako instruktora. Jego dorobek zawodowy wyraził się bardzo istotnie wystawą uczestników zajęć nazwaną „Bez tytułu”, otwartą 19 września 2012 roku. Tomasz Popławski opiekujący się i prowadzący zajęcia z grupą dorosłych, ciekawie charakteryzował swoje zaangażowanie zawodowe. Powiedział: „W ciągu pół roku od oddania nowego budynku pracowni ceramicznej przy ulicy Wojska Polskiego w Słupsku zostałem zaskoczony liczbą zgłoszeń osób dorosłych na zajęcia. Osoby te pod moim kierunkiem rozpoczęły po raz pierwszy przygodę twórczą z tworzywem - gliną, a po pewnym czasie doszły do wyższego poziomu wtajemniczenia, tworząc formy rzeźbiarskie o różnej tematyce. Z tej przyczyny trudno nawet było znaleźć właściwą nazwę odzwierciedlającą treść wystawy i dlatego nazwano ją „Bez tytułu”. Jest pasjonatem prowadzonych zajęć. Pokazuje proces technologiczny w garncarstwie, który rozpoczyna się przygotowaniem 20-30 kostek gliny. - Wcześniej należy je dobrze ugnieść i przygotować tak, aby nie było w nich pęcherzyków powietrza - mówi. - Materiałowi nadaje się kształt na kole garncarskim. Należy bryłę gliny centralnie usytuować na kole, aby wszystko było równe. Wykonane misy, kubki, kufle muszą jeszcze kilka dni schnąć. Później po raz pierwszy wypala się je w piecu, maluje i jeszcze raz wkłada do pieca - wypalanie drugie i produkt jest gotowy.

Tomasz wykorzystuje swoje doświadczenia i dociera do podopiecznych, którzy wykonują ciekawe, funkcjonalne, a czasem nietypowe i oryginalne ceramiczne na-

czynia pierwszej potrzeby: kubki, miseczki, bogato zdobione patery, dzbanki. Zadziwia też duża ilość rzeźb ceramicznych, które stanowią nieskomplikowane przedstawienie natury - zwierzęta i rośliny.



Artystyczne zainteresowania samego Tomasza w ceramice artystycznej koncentrują jego uwagę na pracach skomplikowanych. Są to wystudiowane popiersia i projektowane nowoczesne futurystyczne rzeźby geometryczne. Malarstwo uprawia w stylu symbolizmu i jego obrazy wywołują emocje wynikające z wyboru tematu, a także z formy jego przedstawienia. Są na nich karykaturalne postacie, zdeformowane ciała osób. Używając czytelnych symboli w obnażaniu słabości ludzkich, artysta pokazuje ich wady - zakłamanie, nietolerancję, bufonadę itp.

Aby bliżej poznać możliwości twórcze T. Popławskiego, operowanie i wykorzystanie jego talentu, proponuję mu wskazanie najważniejszego z dotychczasowych dzieł w określonej dziedzinie sztuki. Wybór jest trudny, ponieważ Tomasz uważa, że wszystkie prace są mu bliskie, a swój czas dzieli na uprawianie malarstwa i ceramiki artystycznej. Wybór pozostawia samemu zainteresowane-

mu.

Analizując twórczość Tomasza Popławskiego można dokonać podziału jej na okresy wy-

wiających kolorowy świat dzieci. Jak sam wspomina, motywacją były narodziny syna. Radość z tego wydarzenia miała wielki wpływ na młodego ojca i przeniesienie na twórcze realizacje w obrazach. Następny okres 2006 - 2007 autor nazywa „Dziew-



czynki”. Są to karykaturalne postacie kobiet malowane na pograniczu pornografii, perwersji - niewyżytego zauroczenia detalami kobiecego ciała. Można oceniać specyficzny sposób patrzenia artysty na życie, jego emocje w kontaktach z kobietami jako rekompensata za problemy swojego małżeństwa. Trzeci okres 2007 - 2008, nazwany „Pokreśliło mi się w głowie”, ma szczególnie wymiar dla osobowości artysty i jest



wykładnią jego aktualnego stanu zdrowia w trudnym okresie utrzymania harmonii i równowagi między stanem fizycznym a psychicznym. Ostatni okres to lata 2008-2012: „W krzywym zwierciadle. - Druga strona medalu”. W okresie tym artysta rozpoczyna realizację nowej formy wypowiedzi poprzez stosowanie małych instalacji. Są to małe kompozycje, uproszczone i proste formy, w większości centralnym punktem są manekiny lalek.

Podejmując próbę oceny twórczości Tomasza Popławskiego, można wyróżnić jego własny oryginalny styl bliski symbolizmowi i abstrakcyjnemu spojrzeniu na świat. W pracach i wizjach malarskich posługuje się sztuką metafory, aluzji i analogii do własnych przemyśleń i przeżyć. Malował ulegając początkowo określonej modzie „na impresjonistów” i kanonom przyjętym przez mistrzów. Później rozpoczyna poszukiwania własnej drogi, sztuki opartej na przekazywaniu swojej ekspresji myślenia i przedstawiania świata w obrazach groteski oraz karykaturalnych zachowań ludzkich.

Dziś twórczo i zawodowo zajmuje się ceramiką. Są to odrębne a zarazem równoległe do malarstwa jego zainteresowania. Jest uczniem znanego garncarza Karola Elasa Necla, mistrza garncarstwa i projektanta wzornictwa z Muzeum Ceramiki Kaszubskiej. I... od początku związany jest z działalnością Słupskiego Ośrodka Kultury jako instruktor i zarazem projektant ceramiki użytkowej. Prowadzi zajęcia szkoleniowe dla adeptów garncarstwa i w zakresie ceramiki użytkowej. Dzięki wiedzy i komunikatywności zwiększa się krąg jego zainteresowanych. Twórczość osobista w ceramice artystycznej Tomasza Popławskiego jest złożona i oryginalna, trudna jeszcze do oceny, przybiera formy geometryczne, stożkowe, piramidalne, struktury porowate, a niektóre formy przypominają wapienne domki organizmów morskich i można je utożsamiać z pąklami.

Przybliżając wielostronnie postać i złożoną osobowość Tomasza na jego obecnym etapie życia, wielbiciele jego talentu, do których należy również autor tego artykułu, oczekują od artysty podjęcia nowych wyzwań w kreatywnej działalności malarskiej, w poszukiwaniu nowych form i stylu w uprawianej sztuce, tworzenia spójnych ideowo, kolorystycznych dzieł. Nam, zaangażowanym obserwatorom twórczych działań artysty pozostaje tylko śledzić jego dalszy rozwój i współtowarzyszyć w inspirowaniu do realizacji nowych dzieł.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Coś dla fanów wędrówek po regionie



Fot. J. Maziejuk

W wiosennym planie imprez turystycznych jest doprawdy w czym wybierać!

Oto dla przykładu garść co ciekawszych ofert, które zarekomendował nam szef słupskiego Oddziału PTTK, Janusz Grabowski.

Maj. 1: Uroczyste otwarcie (w pełnej gali, według komandora Andrzeja Taraszkiewicza) sezonu żeglarskiego 2013 w bazie Jachtklubu PTTK Orion w Gardnie Wielkiej. **1-3:** Rowerowa majówka pn. „Szlakiem starych latarni morskich” (Ustka - z 1871 r., Czołpino - z 1874 r.). **I-II poł. miesiąca:** 5-dniowy spływ kajakowy rzeką Pilawą (Pojezierze Drawskie, rejon Gwdy). Termin j.w.: Włoczęga „Tropem karwickich źródeł” (Łębork - Mikorowo, gm. Czarna Dąbrówka, tuż przy jeziorze Mikorowskim i w samym centrum Równiny Słupskiej). **11:** IV Pieszy Rajd Nadmorski Darłówko - jez. Kopań-Wicie w nadal związanej z ziemią słupską (!) gminie Sławno. **18:** Pokazy nurkowania członków klubu Nautilus w słupskim Parku Kultury i Wypoczynku.

Czerwiec. 1: Wielogodzinna masowa impreza, z rozlicznymi atrakcjami - nie-

spodziankami Koła Przewodników Terenowych PTTK, dla najmłodszych słupszczyzan w związku z Dniem Dziecka. Ufając zapewnieniom sekretarza wspomnianej braci - Angeliki Zyskowskiej, obiecujemy powrócić do sprawy w szerszym kontekście w następnym Biuletynie. Tego samego dnia: Doroczne Regaty Żeglarskie o Puchar Dyrektora Słowińskiego Parku Narodowego (oczywiście na jez. Gardno, z udziałem jachtów klasy Omega). **7-9:** XXXVIII Ogólnopolski Zlot (z rajdem pieszym) ph. „Szlakami Słowińskiego Parku Narodowego” w Gardnie Wielkiej jako stałej bazy zlotu. **Połowa miesiąca:** 5-dniowy spływ kajakowy rzeką Łupawą; począwszy od Jasienia, skąd wypływa ta rzeka. **21-22:** Noc Kupały w SPN (Smółdzino, Rowokół, Gardna Wielka). Wreszcie, **23:** Tradycyjne już Gardneńskie Regaty o Puchar Prezesa PTTK.

Szczegóły i zapisy - w biurze Towarzystwa (ul. Szarych Szeregów 1, tel. 59 842 50 12 lub 59 842 29 02, e-mail: pocza@slupsk.pttk.pl). (el)

Świat zmienił się i zmiany się pogłębiają,
na naszych oczach wybuchła i trwa rewolucja

O rewolucjach, imidżu i artystach

Nawet w marzeniach nigdy bym nie przypuszczał, że na stare lata stanę się rewolucjonistą, nie jej czynnym a bardziej mentalnym uczestnikiem. Chociaż niekoniecznie, uczestnicząc w... rewolucji śmieciowej, podporządkowałem się nowemu regulaminowi gospodarki odpadami komunalnymi, co raczej dowodzi poparcia dla rewolucji i tym samym wyrażenia własnych oczekiwań, że selektywność, segregacja, recykling, sortowanie, kompostowanie czy spalanie raz a dobrze, skutecznie rozwiąże problem śmietnikowej i śmietniskowej bylejakości. I nie tylko, pozostaje nadzieja, że ranga surowca wtórnego wzrośnie, co przełoży się na oszczędność energii, itd. - jak to uczono w szkole. Z logiki ruchu rewolucyjnego wynika, czy mi się to podoba czy nie, że stałem się robaczkiem politycznym popierającym rewolucję dziewięciozłotowym biletem, a to już ma znaczenie polityczne jak każda zabierana złotówka. Kolejna zresztą z serii podatkowych podwyżek, jak lokalnych podatków, cen wody, biletów komunikacji publicznej, nawet klimatycznej od czystego powietrza i inych. Jeśli sobie wmówię, że z tych powodów jestem politykiem, to odpowiedzieć można enigmatycznie, jak Dodek Dziewoński, w którejś z kwestii: „...teoretycznie tak...”.

Czytam i słyszę o rządowo-samorządowym zamieszaniu wokół śmieci, gniew obywateli na wysokie stawki śmieciowe narasta, teoretycznie rozwiązany problem wymaga pilnego dopracowania. Dajmy sobie spokój, chociaż, a to wiem przynajmniej z filmów - nie kto inny jak mafia zawsze prowadziła biznes śmieciowo-złomowy, skutecznie. Dla mnie, z inżynierskiego punktu widzenia, w działaniach proekologicznych rewelacją techniczno-organizacyjną jest montaż w Słupsku 23-tonowej prasy do zgniatania samochodowych wraków oraz linii do demontażu pojazdów. Przedsięwzięcie na głowę bije administracyjno-polityczne przepychanki wokół śmieciowych praktyk, a jego skuteczność i opłacalność będę z życzliwością i ciekawością śledził po sąsiedztwie. Organizatorowi życzę sukcesów w branży.

Nie o śmietnikach jednak rzecz, bo idąc tropem słowa recykling, próbuję znaleźć jakiś porządek w tzw. aktywności

twórczej, co ma związek nie ze zbieraniem rzeczy zbędnych, a nawet śmierdzących czy niebezpiecznych, odpadów. Dotyczy recyklingu idei w kulturze, a tu domniemywam, niczego nie ujmując nikomu, najbardziej nawet oblatani ludzie w referatach budownictwa, gospodarki przestrzennej i ochrony środowiska nie wypowiedzą się, no chyba jako konsumenci kultury i sztuki.

Twórcy, krytycy kultury, jej obserwatorzy i konsumenci, wszyscy, to uczestnicy w procesie kultury, „sprawcy” i „ofiary” naraz, wyciągający wnioski z narastających lawinowo doświadczeń życia i tego, co się kryje w przestrzeni zmian społecznych. A dzieje się dużo, zdarzyło się niewyobrażalnie wiele. Globalne wioski, globalizacja to już oklepane frazesy znane choćby z tego, że obecnie wytwarzamy i konsumujemy dużo więcej danych niż jesteśmy w stanie zapisać i przetłumaczyć na komputerowy alfabet bitów, ciąg zer i jedynek. Wielkie zbiory danych, internet z blogami i facebookami, kamery i mikrofony, telefony komórkowe i smartfony, emaile, serwisy video YouTube, wpisy serwisu Twitter, Wikipedii. Miliony, miliardy, tryliardy bitów informacji w cyberświecie. A do tego w oceanie cyfrowych danych pełny obraz każdego z nas, odarty z prywatności i tajemnic, z motywami którymi kierujemy się lepiej obnażonymi przez algorytm niż chcemy i potrafimy to sami w sobie dostrzec - ludzie przezroczystości, ze szkła. Świat zmienił się i zmiany się pogłębiają, na naszych oczach wybuchła i trwa rewolucja.

Żyjemy w czasach rozkwitu

kultury, jesteśmy

w niej

zanurzeni, czy bę-

to gra kom-

w laptopie, se-

ka z osobistego

odtworzenia

czy koncert w filharmonii, sztuka w teatrze

czy też film w multikinie. Nie ma barier geograficznych na ściągnięcie dowolnej płyty, filmu, książki wprost do domu. Dzięki internetowym technologiom, portalom społeczno-

ściowym i wielofunkcyjnym komór-

kom stajemy się twórcami kultury dzięki na-

działaniu

prywatnym

komunikacji

masowej

czy indywidualnej

komunikacji

masowej

czy indywidualnej

komunikacji

masowej

czy indywidualnej

komunikacji

masowej

czy indywidualnej

komunikacji

masowej

czy indywidualnej

komunikacji

masowej

czy indywidualnej

komunikacji

szym zdjęciom, wpisom na blogu, sami oddajemy się pod publiczny osąd - my bezwiedni twórcy.

Tu warto oddać się lekturze książki - performance „Kultura w płynnej nowoczesności” prof. Z. Bauman, a w niej szukać scenariuszy rozwoju współczesnej kultury, diagnoz dotyczących erozji kultury, odpowiedzi, jak ją zmienić i jak na nią wpływać. Lektura to przynębiająca, trudna, wywołuje pesymizm, bo kultura, to gigantyczny wielobranżowy supermarket; jest w nim wszystko: mydło i powi-

dło, jakim stał się nasz świat. To mega sklep wypełniany co dzień atrakcjami w blasku starzejących się reklam i ofertami kolejnych nowości w jupiterach towarowych sensacji i marketingowych chwytów.

Nowe technologie i zmiany w sposobie uczestniczenia w kulturze spowodowały, że dawne hierarchie kulturalne zmieniły się w mrowiska, rojowiska z ich ciągłym dynamicznym ruchem. Całości życia kulturalnego nie jest w stanie ogarnąć nikt, każdy zmuszany jest przedzierać się przez kulturalny gąszcz i dokonywać samodzielnie indywidualnych wyborów między Andy Warholem a komiksem, Straussem a disco-polo, itd. Jedynym kryterium wartości staje się „Lubię to” lub „Nie lubię” tak jak stoję czy leżę, chce mi się lub nie, o g l ą d a m lub nie, k l i k n ę lub nie, etc. To z czym mamy dzisiaj do czynienia, to kultura indywidualna, a

ta nie podlega naszym nakazom czy zakazom a służy zaspokajaniu wciąż na nowo kreowanych potrzeb.

Dzisiejszy ład społeczny wytwarza się w coraz większym stopniu bez udziału państwa, tak by się wydawało. Nie powstaje przecież na mocy rynkowych dekretów, ustaw tylko dzięki siłom rynkowym nie znoszącym regulacji. Główną siłą organizującą społeczeństwo przynajmniej w znacznej większości świata, w kapitalistycznym świecie, stała się KONSUMPCJA. Trudno też się dziwić, że dla społeczeństwa z wizytówką w kłapie: konsumpcyjne, właśnie ona stała się ważniejsza ekonomicznie i społecznie od PRODUKCJI. Dzisiaj wysiłek ka-

pitału i przemysłu koncentruje się na stwarzaniu nabywców - światowy rynek produkuje nie tyle towary, ile konsumentów dla towarów jeszcze nie istniejących.

Głównym czynnikiem ekspansji ekonomicznej jest wytwarzanie nowych potrzeb, a przez potrzeby wytwarzanie nowych konsumentów. W produkowaniu konsumentów decydującą rolę gra reklama, dla której w klasycznej koncepcji rynku w konkurencji wygrywał lepszy produkt. Dziś wygrywa niekoniecznie lepszy, lecz lepiej reklamowany a skuteczna reklama jest sposobem utrzymania towaru na powierzchni w powodzi wrażeń i informacji. W nadmiarze towarowym najbardziej deficytowym towarem na rynku stała się uwaga. A jak można zwrócić na siebie uwagę? Przez wyjaskrawienie obrazu, przejawianie, przez krzyk głośniejszy od innych, przez szokowanie. Marketingowa reguła panuje w kulturze, a obok niej narzekanie na upadek powszechnie obowiązujących wartości, zanik autorytetów itp.

Na własny użytek warto rozpoznać jeszcze kilka terminów, które mogą rozjaśnić obraz rynkowy tego świata

tak, by się w nim umieć sensownie poruszać, ze zrozumieniem: o co tu chodzi?

„Nowoczesność” to słowo - idea cywilizacyjna, które nadawało sens i wyznaczało cele epoce zwanej „nowoczesnością”, ale dziś wchodzi w swoją nową fazę (jakąś jej częścią jest tzw. innowacyjność z trudem przebijająca się do sfery produkcyjnej). Nowoczesne są m.in. utopia społeczeństwa sprawiedliwego, obsesja ładu i porządkowania, wiara w postęp, przekonanie, że istnieje wiedza obiektywna, nadzieja na doskonałe poznanie.

„Ponowoczesność” to nie coś, co następuje po nowoczesności, to nie tradycyjnie rozumiany postmodernizm, ale raczej nowa świadomość społeczna wpływająca na ludzkie style życia. Rozumieć ją należy jako nowoczesny umysł przyglądający się uważnie, trzeźwo i z namysłem własnym dokonaniom i intencjom, jakie im przyświecały, wcale nie zachwycony tym co widzi, więc ogarnięty pragnieniem zmian (nazywam to głęboką refleksyjnością i

szwongiem do zmian). Ponowoczesność to tyle, co nowoczesność wkraczająca w wiek dojrzały, spoglądająca na siebie z dystansu raczej niż od środka, sporządzająca bilans zysków i strat, wykrywająca pragnienia, z jakich nie zdawała sobie sprawy, uświadamiająca sobie po niewczasie ich sprzeczność wzajemną i niespójność. To eliminacja pyszałkowatości, rozumienie płynności zmian i bodźców, nie zdobywanie pewności siebie, ale budzenie niepokojów, wskazywanie wielości i możliwości, bowiem zaufanie zawsze kończy się ślepotą i bezbronnością wobec rzeczywistego biegu wydarzeń, utratą iluzji.

Wczytywanie się w wykładnie socjologiczne bywa czasem nudne i męczące, ale trudno nie zgodzić się z opiniami o „ekonomii politycznej” w konfrontacji z „ekonomią nadziei”.

W ludzku mówiąc, chodzi o to, w jakim stopniu ludzie wiążą nadzieję na polepszenie bytu z konkretną zmianą lub inaczej, czy poparcie dla zmian i reform zależy od tego, ile człowiek zarabia czy też tylko, co się spodziewa uzyskać.

Tu polityka zaczyna się ciekawie z punktu widzenia „konsumenckiego zadowolenia”. W Polsce zdecydowanie większa część społeczeństwa po ustrojowych przemianach stała się pierwszymi ofiarami swego zwycięstwa. Na politykę nie ma formuły, w polityce potrzebna jest mądrość działania i myślenie o tym, żeby nikt nie był skrzywdzony ponad miarę. Książeczki oszczędnościowe odsuwające zaspokojenie potrzeb zamieniono na symbol współczesnych cnót - plik kart kredytowych umożliwiających zwlekanie z opłatą za zaspokojenie potrzeb. Dziś spór w Polsce nie toczy się o reformy (i tak nie są wprowadzone od lat, przynajmniej te istotne) tylko o tym, czym kosztem i jak wielkim mają się one odbywać. Społeczeństwo szybko staje się społeczeństwem konsumpcyjnym, w kraju żyje się już mentalnie w świecie ponowoczesnym, podczas gdy nogi na tym gruncie nie stoją. Głowy mamy jak zwykle w obłokach, a nogi wiszą w powietrzu.

Brak świadomości, że powszechne prawo wyborcze, które w demokracji decydowało o pchaniu jej w kierunku rozbudowy świadczeń społecznych, redystrybucji dochodów, dziś powoduje, że wyborcy, w wolnych, demokratycznych wyborach wybierają posunięcia, które służą zwiększeniu nierówności. Dlaczego? Dlatego, że żyjemy w społeczeństwie konsumpcyjnym a jego część pokłada nadzieję w kontrolowaniu kieszeni na własną rękę niż w dostarczaniu świadczeń społecznych przez państwo, tak jak jest na Zachodzie.

Problem tkwi w tym, że w Polsce ciągle jeszcze większość ludzi na likwidacji świadczeń i przekazywaniu w gestię prywatną spraw, które były kiedyś społecznie załatwiane, raczej traci niż korzysta.

Nie wydaje mi się, by strzępy treści dyskursów filozoficznych i teorii estetycznych mogły cokolwiek zmienić w odbiorze rzeczywistości społecznej i politycznej. Kiedy człowiek tonie w lawinie sprzecznych komunikatów, propozycji i decyzji będzie nadal reagował na zmiany w ciągłej świadomości relatywizmu własnych poglądów i doświadczeń. Będzie dążył do pewności, by uwolnić się od odpowiedzialności wyboru. Tej pewności nigdy się nie doczeka.

Na koniec ciekawostka z ostatniej chwili, dowodząca, że rozbudzone apetyty konsumentów i konsumpcyjne nie idą w parze z możliwościami i oczekiwaniami. Za kurtyną błogiej stabilizacji konsumpcyjnej kryje się kryzysowa fasada, a na jej ścianie odbija się świadomość, że pogłębia się przepaść między biedą a bogactwem i rośnie rozwarstwienie społeczne, rynek finansowy nie tylko nie stabilizuje bogacenia się ludzi, ale jest przez nich sponsorowany i utrzymywany, elita krzepnie w przepychu, stałym zagrożeniem staje się obniżanie dochodów i bezrobocie. Do tego klasa polityczna żyje swoimi problemami, skłóceni są rządzący ze słabą opozycją, społeczeństwo przestaje być rozumiane, brakuje utrwalania więzi społecznych w dyskusyjnej konkurencji. Obowiązująca przez wiele lat prawidłowość wydawania coraz mniejszej części naszych pieniędzy na podstawowe potrzeby uległa zmianie. Struktura naszych wydatków - malejący udział żywności był interpretowany jako oznaka zbliżania się do społeczeństw zachodnich, gdzie ludzie żyją w większym dobrobycie. To się skończyło.

Ludzie nawet w ciężkich czasach starają się jak najdłużej utrzymywać dotychczasowy poziom życia i wolą przejadać oszczędności niż zaciskać pasa. Jednak w końcu ubiegłego roku nasze oszczędności zaczęły rosnać i mieliśmy bezprecedensowy spadek konsumpcji. Dalej wolimy oszczędzać niż kupować, zwłaszcza, że mamy niskie tempo wzrostu płac i spadające zatrudnienie.

Skończył się po dwóch-trzech latach szybki wzrost cen, problem inflacji zniknął - pojawił się wręcz problem za wolno rosnących cen. Spowolnienie w gospodarce i spadek cen energii sprawiły, że inflacja w styczniu bieżącego roku była najniższa od października 2006 (tylko 1,3 proc.), a to niedobrze, łatwo bowiem wpaść w deflację. Gdy ceny większości dóbr są coraz niższe, to ludzie ciągle wstrzymują się z zakupami, oczekując na dalszy ich spadek - to niszczy wzrost gospodarczy. Efektem jest również to, że wydatki na tzw. kulturę topnieją coraz bardziej.

Czesław Guit, Lubuń

Kuchenne rewolucje

Co dziś jest oryginalne? Nawet twarze, piersi czy biodra celebrytek - dopełnione są silikonem, plastikiem i przeszczepami

Dostrzegając (z racji wieku) coraz częściej Światłość Wiekiustą - rzadziej już odczuwam zadowolenie ze światłości doraźnej, dostarczanej przez koncerny paliwowe i energetyczne. Nawet zakupione kiedyś żarówki typu OSRAM - już nie gwarantują mi satysfakcji z oszczędzania. Na myśleniu też oszczędzałem, bo „wiara, nadzieja i miłość” za darmochę uzupełniały mój myślowy „pustostan”.

Kiedy poirytowana w końcu przyjaciółka wygarnęła mi: przestań wreszcie oszczędzać a zacznij zarabiać! - zacząłem myśleć samodzielnie, choć to samobójczy pomysł.

Stąd wiem, że nawet Einstein mylił

inim łączy mnie tylko - nałóg palenia, choć nauka to też „pałac” problem).

Człowiek w swej personalnej istocie - stał się anonimowy, na korzyść globalizacji. Posiadł w swej transcendencji wymiar statystyczno-ekonomiczny. Tożsamość ludzka została zespolona w nową jakość i jedność jaką jest - „Człowiek - Pieniądz”. Jest wprawdzie „ciałem”, ale - doradczym, konstytucyjnym, pedagogicznym, samorządowym itd. Jego „stopy” są - procentowe. „Profil” - społecznościowy. Ma też „koszyk” - świadczeń socjalnych, dzieci - koszyczek święconki. Na „parkiecie” - nie człowiek już występuje ale - dolary, funty czy euro. Tylko ja liczę się jeszcze na owym „parkiecie” ze swoją walutą - „Na zeszyt”. Poza tym straciłem apetyt, szczególnie na „czereśnie, wiśnie i dziewczyny jak ze snu”.

Pozwolić sobie mogę tylko - z braku apetytu oczywiście - na: siedem dag szynki (pozyskanej ze zwłok świniaka), dwa skrzydełka (pozyskane ze zwłok kurczaka) i jedną „viagrę” (pobudzającą moje zwłoki). Czasem wspomaga mnie kawa, szczególnie „mała - czarna pita w łóżku”. Na koniec biorę się za „nabiał”, tzn. - piję mleko, zgodnie z reklamą „Pij mleko - będziesz wielki”. Nęka mnie tylko tzw. „dylemat zawałowca”. Może jednak serce nie stanie pierwsze. Oby!

Resztę czasu wolnego przeznaczam na zbieranie i porządkowanie autografów znanych postaci. Mam ich bez liku! Właściwie to ich nie zbieram - sami przysyłają. Z pieczątką i własnym autografem. A to - z banku, sądu, urzędu skarbowego, spółdzielni mieszkaniowej, komisji lekarskiej, posterunku policji, związków zawodowych i amatorskich. Niestety - to kopie (ksero) tylko. Ale co dziś jest oryginalne? Nawet twarze, piersi czy biodra celebrytek - dopełnione są silikonem, plastikiem i przeszczepami. O bardziej intymnych miejscach - z grzeczności - nie wspomnę (Teraz proszę nastawić czajniki z gwizdkiem w swoich domach na siedem minut, bo nie znajduję bardziej fortunnego określenia, jak skorzystanie z terminologii seksualnej. Choć jest demokracja - „odpowiednie dać rzeczy słowo” ma się tu nijak.)

Bijąc się już tylko z myślami, uświadomiłem sobie ze zdumieniem (oglądając medialne reklamy), że jestem sponsorem kilku elitarnych dyscyplin sportowych. Płacąc zawyżone rachunki za energię elektryczną, usługi bankowe i gaz - stałem się mimowolnym wspomagaczem sportu „dla



Fot. J. Maziejuk

wybranych”. Świadomość ta - jak żarówka - pali moją duszę, bo zawsze byłem zwolennikiem sportu masowego i mniej boleśnie odczuwałbym haracz pobierany na cele... powszechności sportu.

Ale cóż. Mając dziś w kraju tyle rakiet, palantów i kierownic - to tylko w TV możemy odczuwać namiastkę sparingowych zmagani jednej czy dwóch osób, w egzotycznych krajach i za niewyobrażalne pieniądze. Nie zazdrościsz oczywiście, bo ani przyjaciółka nie jest już rakieta, ani ja - palantem. Szkoda mi tylko młodego pokolenia, bo - nie mogąc realizować się w Ludowych Zespołach Sportowych - stają się biernymi kibicami. Różnica pomiędzy sportem a kibicowaniem jest tak odległą przeciż, jak dystans pomiędzy niebem a ziemią (i to na piechotę).

Nową dyscypliną - choć nie olimpijską jeszcze - są zawody w budowaniu kominów płacowych. Sport ten widoczny jest we wszystkich strategicznych dziedzinach gospodarki: inwestycjach, przetargach, bankowości czy korporacjach. Wprawdzie daleko nam jeszcze do światowej czołówki, ale w „lotnych premiach” - jesteśmy dobrzy. (Trąbią o tym media, choć po czasie). Są to „Nowe Widnokregi” kultury globalnej, a więc i kierunki naszego sportu.

Obawiam się tylko, że ci nieliczni zawodnicy w tej dyscyplinie są też obywatelami świata - a mając liczne paszporty - mogą nieoczekiwanie reprezentować zupełnie inny kraj. Namiastką tych inklinacji są (póki co) - dwujęzyczne nazwy miejscowości. Okazuje się, że niektórzy nadal mają kłopot ze swoją tożsamością narodową i krajem zamieszkania, nawet po tylu latach. To także dowód, że najłatwiej się czegoś nauczyć. Najtrudniej - oduczyć! Wiem też (empirycznie doświadczony), że mamy także obywateli, o których nic nie wiadomo, prócz tego, że nie wolno ich obrażać. (W takich przypadkach - często przechodzę na drugą stronę ulicy). Mój dylemat z pewnością rozwiąże prof. Miodek w programie „Ojczyzna - Polsczyzna”, bo „Ojczyznę-chińszczyznę” zafundowali nam już patriotycznie polscy biznesmeni i handlowcy.

Ojczyzną bogatych - mówią niektórzy - są pieniądze, choć chciwość do takiej „ojczyzny” nie da się ująć w żadne normy. Ich zegarki nie tyle odmierzają godziny - co czas posiłków, spotkań i przelewów bankowych. Jeśli boli ich uderzenie, to tylko... po kieszeni. Takie zdobywanie kasy przypomina często - napad rabunkowy. Nie martwię się jednak. Kiedyś zajmą się nimi organa ścigania, a lokalne IPN-y udokumentują to z czasem, na czasie i... po czasie. Mocno wierzę w ich bezstronność i lojalność z wiatrem historii. Jest to oczywiście mój pogląd - widzisz, a nie temat do dyskusji. Nie jestem przecież politykiem. A propos. Chcesz, żeby Twój

ulubiony polityk (radny, poseł, senator) zabrał się do rzetelnej pracy? - Nie głosuj na niego!

Brnąc dalej w swym - nie tyle „samo-bójczym”, co „innowacyjnym” - myśleniu, nadal poszukuję prawdy w odniesieniu do demokracji wolności i wolnej woli. Czy wypełniając wolę kogoś innego - mogę mówić o wolności i wolnej woli? Czy aby tylko Wojak Szwejk uważał, że „Kto nie wykonuje rozkazów - jest tylko zwykłym, śmierzącym cywilem”?

„Kuchenne rewolucje” (w TV) - zrewolucjonizowały także mój pogląd na sposoby osiągania korzyści. Ostrze mojego noża (myślowego) - skierowałem w stronę kolejnej już „puszki Pandory”.

Każda rewolucja - jest bezprawiem wobec panującego wcześniej prawa. Znamy to już z czasów biblijnych. Najpotężniejszy ze wszystkich aniołów - Lucyfer (tzn. - niosący światło), zbuntował się przeciw Woli Bożej. Uniósł się pychą! Albo - wyjście Izraelitów z Egiptu (domu niewoli) na „Ziemie Obiecane”, z osobliwym uzasadnieniem „aktu własności” - pominę milczeniem, bo krew tam do dziś się leje.

Najbliższe naszym czasom: Rewolucja Francuska, Rewolucja Październikowa, I i II Wojny Światowe - też były rażącym bezprawiem wobec panującego już prawa. Powstały nowe prawa, a „prawo do błędu” stało się dominujące. Odwieczna zasada „Pożerasz, albo zostaniesz pożarty” - ma się nadal dobrze. Obecne prawa demokratycznie polegają na pokojowej symbiozie - „I wilk syty, i owca cała”. Nasz Witkacy uważał, że „Każda rewolucja - jest potrzebą brzucha”. I wszystko jasne.

Owe cywilizacyjne zdobycze uwiadaczają się najbardziej w programach TV - „Gotowanie na ekranie” i milionowych nakładach książkowych. Piszą książki kucharskie i gotują na ekranie wszyscy: dzieci, politycy, sportowcy, celebryci świeccy i duchowni, matki, żony i kochanki. (I teściowe też). Wszyscy bez fartuszków (BHP?). Gotują oczywiście dla nas - tępych widzów, choć niezupełnie, bo w fartuszkach!

„O, gdybym dożył tej pociechy” i mógł kiedyś owym celebrytom zaproponować oryginalny przepis obiadowy - „Kisiel z chlebem”, na deser „Bananowy song” - może inaczej zagospodarowałby swój antenowy czas, bo jedzenie „chleba” przynależnego innym - do widowiskowych nie należy. Wolność i demokracja w oczywisty sposób objawiały się w mnogości zrodzonych i umarłych już partii po 1989 roku. Oczywiście powstają kolejne (syndrom „hydry”), choć ich działanie przypomina często metodę „uporczywej terapii”.

Jeden z moich sąsiadów (a tych się nie wybiera) z upodobaniem popiera definicję wygłoszoną przez telewizyjnego Paździucha: „Demokracja, to dominacja hien nad osłami”. Od dwudziestu lat ów pan płynnie odnajduje się w obecnej rzeczywistości,

choć w jego duchowym „Ogrórcu” panuje chaos. Lubi pielgrzymować do Rzymu i lubi atrakcje turystyczne jednocześnie. Szanuje wszelkie symbole wiary, choć ludzi - niekoniecznie. Jest jeszcze zdrowy i stosunkowo sprawny. (Nie dziwi więc, że jest wrogiem sztucznego zapłodnienia). Kiedy (po kościele) idzie do kochanki, bez zażdroszczy sugeruje żonie: „Zostań z Bogiem”. Jest też przeciwnikiem eutanazji, popierając paradoksalnie budowę kolejnego Hospicjum.

Czasem - dla podtrzymania sąsiedzkich relacji - obalamy z sąsiadem półlitrowkę. Pijąc „na krzywy ryj”, często akcentuje swoją werbalną moc wiary mówiąc: „Bóg zapłać”. Po kolejnej butelce jeszcze bardziej eksponuje swój duchowy werbalizm: „Panie Boże zapłać”. Przyciśnięty do muru w celu zwrotu połowy poniesionych kosztów - błagalnie wręcz woła: „Panie Boże Wielki zapłać”. Skądinąd wiem, że nadal prowadzi biznes polegający na szukaniu sponsorów. Lubię go na swój sposób, choć za plecami nazywa mnie - komunistą. Pewnie dlatego, że nie nadużywam imienia Pana Boga nadaremno. Bywa, że (przy flaszcze) nazywa mnie też demaskatorsko - „Towarzyszem”. Śpiewa mi wtedy złośliwie: „Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój”. Solidarnie i towarzysko, to unosi się wtedy nad nami zapach „żołądkowej gorzkiej” i kiszonych ogórków.

Towarzysząc w ożywczo wiosennych i rozlicznych festynach (ale tylko w „strefie kibica”) - stałem się świadkiem próby narodzin kolejnej partii. Jakiś „wodzirej-tan” namawiał do założenia nowej grupy politycznej, składając im kolejne, wręcz niebiańskie obietnice. Osobnik ten posiadał strój wielce nobliwy i skromny, choć kosztowne akcenty na rękach sugerowały władczę upodobania. Trochę kojarzyłem go ze sroczką, lubiącą podobno świecidełka. Pomimo zewnętrzznego dostojęstwa, jego (energetyczno-radykalno-magiczne) wypowiedzi najczęściej kojarzyłem z piosenką „Kałasz-nikow” Bregovica. Zebrani - mówiąc oględnie - mieli bardzo antropologiczny wygląd, jakby uzasadniający teorie ewolucjonizmu. (Taki swoisty „Karnawał zwierząt” - jak u Camila Saint-Saens).

Pierwszy wyśmiał „wodzirej-tana” pan o wyglądzie świni domowej mówiąc: „A na co mi? Ja już jestem przy korycie, żona przy korycie i dzieci też”. Drugi - sprytnie maskując pod beretem mocno zawinięte rogi i o wyraźnym wyglądzie barana - też nie wyraził chęci: „A mnie po jakie diabli? Produkuję wełnę. Poza tym - ja mam kożuch, żona ma kożuch i dzieci po kożuszku”. Nieustępliwy agitator zagadnął trzeciego. Ten zagadnięty niepozorny pan (o wyglądzie i możliwościach zająca) - też nie znalazł powodu mówiąc: „Gościu. Ja mam dobre chody, żona ma dobre chody, a więc i dzieci też”. Tu nastąpił zwrot akcji. Jak z procy wyskoczył jegomość o wyglą-

dzie pawiana (z domieszką szympansa): „Chętnie! Ja mam gołą d., żona ma gołą d., i dzieci tak samo. A dostaniemy za to banany?”.

Zadowolony z sukcesu „wodzirej-tan” skierował swoje kroki do mnie, choć na „członka” nowej partii już nie wyglądałem. (Tzn. mogę jeszcze, tylko mi się nie chce). Widząc mój „polityczny” uśmiech, przez szacunek tylko rzucił retoryczną myśl: „Czy widział pan kiedykolwiek wędkarza, który po złapaniu ryby - dawałby jej przynętę drugi raz?”. Obydwa buchnęliśmy śmiechem (z tej oczywistej prawdy). Ja - swojego banana zjadłem już dwadzieścia lat wcześniej.

I jeszcze trochę o rewolucjach. Nie tylko kulinarnych. Ponieważ kaznodziejska płodność hierarchów Kościoła dawno już przestała wystarczać - to objawiona światu osobowość Papieża Franciszka stała się dla wielu wiary - godna. Dotychczasowy Kościół (pomimo werbalnych deklaracji i spektakularnej pomocy) stał po stronie bogatych.

Przykładna skromność i demonstracyjna niechęć do przepychu aktualnie dominującego Hierarchy - już na początku pontyfikatu czyni Go rewolucyjnie Wielkim. Mówiąc pierwsze słowa „Buonasera” - ewidentnie odgradził się od hierarchów Kościoła okazujących brak szacunku wobec ludzi niewierzących. Papież Franciszek przypomina nam także, że „Kimkolwiek jesteś, jesteś przede wszystkim - Człowiekiem”. Uświadamia wszystkim, że oczy Kościoła nie tyle w niebo mają być skierowane, co - naturalną grawitacją myśli katolickiej - w stronę ubogich i smutnych. Pewien jestem, że w taką rolę Kościoła uwierzą nawet - niewierzący. Postać ta zadziwia mnie również dlatego, że głośno potrafi nazwać - nienazwane.

W jednej z wypowiedzi usłyszałem zadanie: „Kto nie modli się do Boga, modli się do diabła”. Zrozumiałem z tego, że Bóg i szatan - są jednakowo dostępni człowiekowi. Jesteśmy krajem szczególnie rozmodlonym. I dobrze. Tylko jak mam rozpoznać - kto się do kogo modli? Umiem tylko rozróżnić „ziarno od plew”. Właściwie, to mam już pomysł. Jak rozpoznać adresata? - Po nadawcy! To prawda, że świat jest jednakowo dobry, jak i jednakowo zły.

Aby nasza wiara nie stała się tylko produktem rynkowym i ograniczała się do przestrzegania przepisów kulinarnych w okresie świąt - może trzeba „dać świadectwo” i zacząć naśladować obecnego Biskupa Rzymu w przywracaniu właściwych priorytetów katolicyzmu.

Pisałbym i pisał, bo lubię swojego Czytelnika. Zapędy moje znów ostudziła jednak W. Szymborska mówiąc: „Życie, choćby i długie, zawsze będzie za krótkie”. Z tej konieczności - skracam swój „wykon”.

**Klemens Rudowski
Słupsk**

Berlin - miasto rzadko odwiedzane przez Polaków

Berlin jest uważany za piątą tureckie miasto na świecie. Do lamusa można włożyć określenie o niemieckiej gospodynie i o tradycyjnej „Küche”



Berlin jest najszybciej rozwijającą się stolicą europejską. Mimo że w linii prostej od polskich granic jest oddalony o siedemdziesiąt kilometrów, to jednak niewielu naszych rodaków odwiedza to miasto. A ma ono dużo do zaoferowania i jest ciekawe nie tylko poprzez bliskie są-

siedztwo. Są tu światowej klasy muzea, za-
bytkowe budowle - dowody wielkiej kultury i potęgi Prus oraz Cesarstwa Niemieckiego. Jednak najważniejsze jest spojrzenie na współczesne oblicze miasta. Berlin to zmieniająca się co roku panorama, która zaskakuje nie tylko nowoczesnością swych dziel-

nic. Szczególnie wyróżnia się kompleksem rządowym i budynkami, do których przeniesione są siedziby rządowych agend z Bonn. Zauważalny jest też ciągły proces spajania zjednoczonego miasta, które pozbywa się kompleksu jeszcze nie tak dawno istniejącego granicznego „muru berlińskiego”. Stolicą Niemieckiej Republiki Demokratycznej była wschodnia część Berlina, przez dwadzieścia osiem lat funkcjonowała jako niezależny organizm miejski. Teraz prowadzi się w centrum miasta prace nad odtworzeniem starej zabudowy, restaurowaniem zabytków i nad dogodnymi nowymi rozwiązaniami komunikacyjnymi. Poprzez wyburzenie gmachów energo- i elektrycznych i odbudowę historycznych obiektów kształtuje się kompleksowe zagospodarowanie tego terenu.

Fot. W. Lipczyński



Na Alexanderplatz wciąż dominuje wieża telewizyjna - Fernsehturm (368 metrów) - najbardziej charakterystyczny element miejskiej panoramy dawnego Berlina Wschodniego. Atrakcją jest kawiarnia Tele-Cafe na obrotowej platformie widokowej. Nazwa Czerwonego Ratusza - Rotes Rathaus nie pochodzi od politycznych zabarwień partyjnych, lecz od koloru cegły z Marchii Brandenburskiej, z której został zbudowany. Jest siedzibą władz miejskich. Uwagę turystów koncentruje imponująca fontanna - Neptun-brunnen z alegoryczną rzeźbą Neptuna i czterech postaci kobiecych usytuowanych na krawędziach basenu. Symbolizują one rzeki europejskie: Ren, Łabę, Odrę i Wisłę. Był to dar mieszkańców Berlina dla cesarza Wilhelma II. Fontanna miała zdobić plac Zamkowy (Schloss-platz).

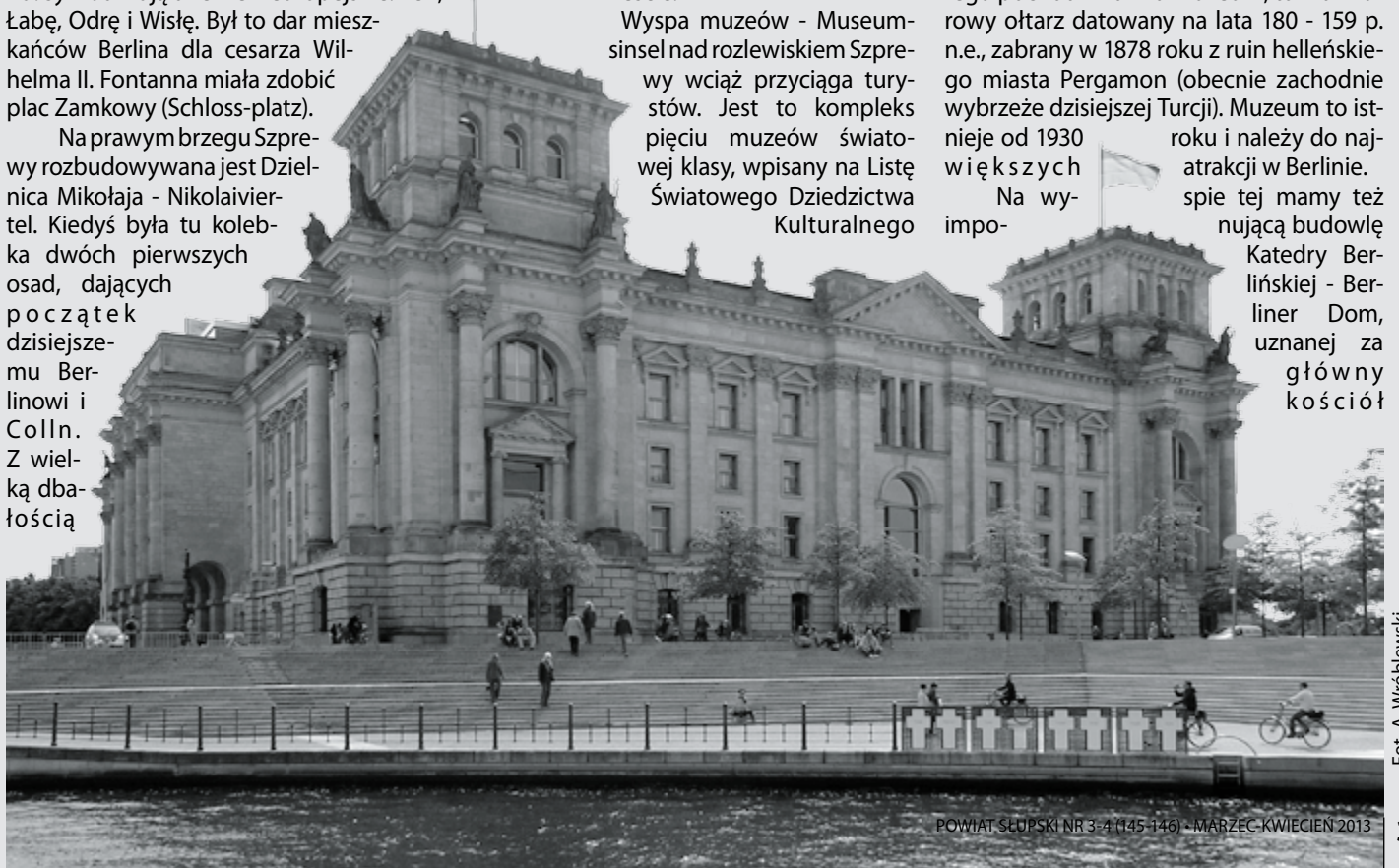
Na prawym brzegu Szprewy rozbudowywana jest Dzielnica Mikołaja - Nikolaiviertel. Kiedyś była tu kolonia dwóch pierwszych osad, dających początek dzisiejszemu Berlinowi i Colln. Z wielką dbałością

o detale i poprawność historyczną zrekonstruowano tu wiele budynków, tworząc historyczne zabytkowe zaułki i wąskie brukowane uliczki. Klimat tej odtworzonej „starówki berlińskiej” zachęca do szperania w małych sklepach i spacerów pośród warsztatów rzemieślniczych, barów i restauracji. Dominuje tutaj najstarszy kościół Berlina - Nikolaikirche pochodzący z 1264 roku, a szczególne zainteresowanie wzbudza nadal zabytkowy dom Ephraim-palais stojący obok kościoła, ozdobiony złożonymi balkonami o fasadzie rokokowej. Jest to bodaj najpiękniejsza rezydencja w mieście.



Wyspa muzeów - Museumsinsel nad rozlewiskiem Szprewy wciąż przyciąga turystów. Jest to kompleks pięciu muzeów światowej klasy, wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego

i Przyrodniczego UNESCO. Największe wrażenie robi Muzeum Pergamońskie - Pergamonmuseum z wielką kolekcją sztuki starożytnej oraz Muzeum Bliskiego Wschodu i Sztuki Islamskiej. Zwiedzających jest tu zawsze dużo, a dominują wycieczki szkolne z różnych krajów Europy. Poszukiwanie młodzieży z Polski kończy się jednak fiaskiem, a szkoda, bo rozgrywa się tutaj wspaniała lekcja historii antycznej. Przy pomocy nagrań w różnych językach można uczestniczyć w procesie edukacyjnym śledząc na eksponatach rozwój cywilizacyjny starożytności. Najszlachetniejszy eksponat, od którego pochodzi nazwa muzeum, to marmurowy ołtarz datowany na lata 180 - 159 p. n.e., zabrany w 1878 roku z ruin hellenistycznego miasta Pergamon (obecnie zachodnie wybrzeże dzisiejszej Turcji). Muzeum to istnieje od 1930 roku i należy do największych atrakcji w Berlinie. Na wyspie tej mamy też imponującą budowlę Katedry Berlińskiej - Berliner Dom, uznanej za główny kościół



Fot. A. Wróblewski

pruskiego protestantyzmu, wzniesionej w latach 1894-1905. Jest to kościół dworski dynastii Hohenzollernów - potężna monumentalna budowla centralna w stylu późnego renesansu włoskiego. Podczas II wojny światowej została zbombardowana, a po wielu latach odbudowana. Stanowi największe miejsce pochówku rodziny cesarskiej.

Najbardziej znana historycznie i reprezentacyjna ulica Berlina - Unter den Linden (pod lipami) jest w przebudowie. Brama Brandenburska to symbol zjednoczonego Berlina, do niedawna granica dwóch światów. Została wybudowana w 1791 roku na wzór greckich Propylejów. Przebiegała przez nią wojska napoleońskie, później brunatne hordy Hitlera, Armia Czerwona i wreszcie - po listopadowych wydarzeniach 1989 roku - przeszli przez nią sami berlińczycy. Tędy przechodzi najdłuższa oś urbanistyczna Berlina od wschodu na zachód - przedłużenie ulicy Unter den Linden i przejście na ulicę 17 Czerwca. Obok bramy wznosi się monumentalny gmach parlamentu niemieckiego - Reichstag - siedziba Izby Niższej. Z dobudowanej na dachu przeszklonej kopuły, można obserwować obrady Bundestagu. Zwiedzanie dachu i wjazd na kopułę jest bezpłatny, i zawsze jest tu wielu oczekujących. W perspektywie widoczne są nowe gmachy rządowe: Rezydencja Prezydenta i kanclerz Angeli Merkel. Najciekawszym jednak obiektem o funkcjach publicznych jest największy dworzec kolejowy - Hauptbahnhof. Potężna przeszklona bryła, kilkupoziomowa stanowi współczesną wizytówkę nowoczesnego Berlina.

Udając się w kierunku Potsdamer Platz napotkamy największy przestrzennie oryginalny Pomnik Pomordowanych Żydów Europy - Holocaustu Memory. To nowy akcent architektoniczny w centrum Berlina utworzony z 2700 płyt przypominających nagrobne macewy o wysokości od 40 centymetrów do 4,7 metra. Pionowe, różnej wielkości płyty tworzą skomplikowany symboliczny labirynt, który pozostawia silne wrażenie i zmusza do refleksji o niewyobrażalnych wydarzeniach niemieckiej historii. W otoczeniu placu wyrastają nowe, futurystyczne wieżowce - siedziby największych koncernów światowych: Sony Center, Daimler-Chrysler, Centrum Handlowe Arkaden. Tutaj znajdują się pozostałości Muru Berlińskiego. Szczególnym miejscem jest małe muzeum na Friedrichstrasse pokazujące historię muru. Warto przypomnieć, że o długości 155 kilometrów wyrósł on w nocy z 12 na 13 sierpnia 1961 roku i miał istotne znaczenie dla życia mieszkańców Berlina. Część dzieląca miasto mierzyła 43 kilometry i była zbudowana z litej ściany. Dane liczbowe są przerażające: około 5 tysiącom osób udało się sforsować mur, w tym 239 przypłaciło to życiem. Mimo iż pilnowany był przez 14 tysięcy strażników, 35 razy próbowano go zburzyć. Fakty te należą do najtragiczniejszych współczesnych kart historii miasta, o których się mówi i nie zapomina.

W centrum Berlina Zachodniego obiekt największego kina - kiedyś miejsce organizowanych międzynarodowych festiwali filmowych - jest zamknięty, Szczerbią korpus wieży kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma I jest obecnie obudowany. To pomnik bezsensowności wojny. W małym wnętrzu wieży znajduje się ekspozycja zdjęć i dokumentów, z których można dowiedzieć się jak wyglądała jedna z największych świątyń w Berlinie przed zbombardowaniem miasta w 1943 roku i jego zupełnym zniszczeniem. Obok zbudowano modernistyczny kościół w formie ośmiobocznej szklanej bryły iluminującej do środka

ciemno-niebieskie światło. Wnętrze tego kościoła jest skromne,

ciemne, tylko w jego centrum jest oświetlona wielka złota figura Chrystusa. Złoty krzyż na szczycie kościoła widoczny jest z najelegantszej ulicy Berlina - Kurfurstendamm. Potocznie nazywana Kuddamm, została wytyczona na polecenie Bismarcka po zwycięstwie nad Francją w 1871 roku. Berlińczycy uważają ją za swoje Pola Elizejskie. Na całej długości mieszczą się tutaj najdroższe salony, sklepy, ekskluzywne hotele, wytworne restauracje, nocne kluby i przedstawicielstwa banków. Tutaj wybudowano też duży kompleks handlowy i kulturalny, tzw. Centrum Europa ze słynnym zegarem wodnym. Przed wejściem znajduje się współczesna duża fontanna z estradą nazywaną poufale przez młodzież „wodnym klopsem”. Umieszczone w pobliżu największy dom handlowy KaDeWe dokonuje ciągle przecen i wyprzedaży. Półki i stoiska uginają się w nim pod ciężarem towarów - konfekcji i odzieży dla każdego. Handlowe przedsięwzięcie zorganizowane jest perfekcyjnie.

Na ulicach współczesnego Berlina spotyka się wielu cudzoziemców, wśród stałych mieszkańców wyróżnia się ludność turecka, której liczbę ocenia się na ponad 200 tysięcy. Tym samym Berlin jest uważany za piąte tureckie miasto na świecie. Współczesne przeciętne młode małżeństwo berlińczyków jest bezdzietne. Kobiety realizują się poza domem zawodowo i robią karierę. Do lamusa można włożyć określenie o niemieckiej gospodyni i o tradycyjnej „Küche”. Berlińczycy chodzą do najbliższych jadalni i lokali gastronomicznych. Do kościoła zaglądają rzadko i to głównie starsi, młodzieży tam nie widać. Nie zawsze już też preferują tradycyjną kuchnię niemiecką - ciężką, tłustą i obfita, składająca się z mięsa wieprzowego, golonki, pieczonych kartofli. Wybierają dania lekkostrawne, z dużą ilością sałatek, warzyw, cienko pokrojoną szynką i różnymi gatunkami serów. Piwo pozostaje narodowym napojem, ale jest wysokiej jakości, a jego asortyment nieskończenie bogaty.

Włodzimierz Lipczyński
Ślupsk

Święte Góry na Pomorzu to nie tylko punkty wysokościowe i orientacyjno-topograficzne dla wędrowców i żeglarzy, ale są to miejsca, gdzie w badaniach archeologicznych stwierdzono pierwsze ślady działalności człowieka, znaleziono pozostałości po jego ciepłopalnych pochówkach

Pomorskie Święte Góry



Fot. L. Szczepańska

Pomorze Środkowe to obszar o zróżnicowanej geomorfologii, pięknych krajobrazach i mozaice przyrodniczych środowisk. Został ukształtowany jako wynik ostatniego zlodowacenia skandynawskiego sprzed 15-12 tysięcy lat i pozostawił przebiegające równoległe do linii brzegowej wypiętrzenia w postaci moreny czołowej. Dominują w tym krajobrazie trzy góry. Najwyższa z nich to Święta Góra koło Polanowa (155,6 m n.p.m.) położona w głębi lądu i oddalona od brzegu morza o około 50 kilometrów. Dwie pozostałe góry są położone w pasie przybrzeżnym Bałtyku. Góra Chełmska, licząca 137 m n.p.m., jest najwyższym wzniesieniem nadmorskim aż po Niderlandy, a Rowokół o wysokości

115 m n.p.m. znajduje się najbliżej brzegu morskiego.

Święte Góry na Pomorzu to nie tylko punkty wysokościowe i orientacyjno-topograficzne dla wędrowców i żeglarzy, ale są to miejsca, gdzie w badaniach archeologicznych stwierdzono pierwsze ślady działalności człowieka, znaleziono pozostałości po jego ciepłopalnych pochówkach. W okresie chrześcijaństwa powstały tutaj sanktuaria kultu maryjnego jako miejsca szczególnego pielgrzymowania.

Średniowieczna Europa cechuje się aktywnym rozwojem ruchu pielgrzymkowego nie tylko do Ziemi Świętej, Rzymu czy Santiago de Composteli. Zyskują w tym czasie na znaczeniu również Góry Świę-

te i nie tylko w wymiarze lokalnym. Kroniki odnotowują kolejno Święte Góry na Pomorzu, a stare mapy niemieckie nazywają Świętą Górę - Heiligen Berg w pobliżu Polanowa, Górę Chełmską - Gollen Berg i Rowokół - Revekol. Każda pełniła szczególne funkcje, zaspokajała ówczesne potrzeby pielgrzymowania do sanktuariów. I tak jest też dzisiaj.

Święta Góra Polanowska...

to miejsce pielgrzymkowe, gdzie mnisi z klasztoru cystersów z Pelplina byli prawdopodobnie budowniczymi kaplicy p.w. Najświętszej Marii Panny. Od około 1385 roku kaplica zyskała sławę i cieszyła się ogromną popularnością wśród pielgrzymów. Przybywali oni z najdalszych stron, ponieważ tu można było uzyskać odpuszczenie grzechu bratobójstwa. W przekazach z 1435 i 1485 roku podaje się, że celem pielgrzymowania było uzyskanie przebaczenia za zabójstwa. Kaplica Polanowska była prawdopodobnie jedyną, która około 1540 roku, po reformacji, była otwarta jako miejsce pielgrzymkowe dla tych, którzy nie przeszli na protestantyzm.

Powrót do tradycji Świętej Góry nastąpił 22 kwietnia 1946 roku poprzez poświęcenie krzyża, ale ówczesne władze nie pozwalały na kontynuowanie kultu religijnego. Nowy krzyż i wybudowany ołtarz zostały poświęcone 4 maja 1979 roku. W 1996, po długich staraniach, Góra Polanowska została oddana w bezterminowe użytkowanie parafii. Ksiądz biskup Ignacy Jeż pomógł w zakupie pięciu hektarów ziemi u podnóża góry i odtąd powoli, ale systematycznie zaczął się zwiększać udział wiernych w uroczystościach na tym wzniesieniu.

Góra Chełmska...

ma szczególne znaczenie dla historii Koszalina. Pierwsza wzmianka historyczna o niej pochodzi z 1214 roku, kiedy książę Bogusław II nadał klasztorowi norbertanów w Białobokach wieś Koszalin. W nadaniu tym położenie wsi określane jest wyrazem iuxta Cholin, co znaczy... w pobliżu Chełma (Gollenberg). To, że posłużono się nazwą Góry Chełmskiej dla określenia położenia wsi świadczy o pełnieniu przez nią znaczącej funkcji punktu orientacyjnego dla najbliższej okolicy. Całe pasmo wzgórz morenowego Chełmskiej Góry można podzielić na trzy główne szczyty: Krzyżankę, Leśnicę i Krzywogórę. Ciekawe są wyniki badań archeologicznych Góry Chełmskiej, które dotyczyły głównie obszaru wzgórza Krzyżanki. W 1966 roku Henryk Janocha przedstawił informacje o osadnictwie wczesnośredniowiecznym na Krzyżance na podstawie odkrytych trzech jam paleniskowych z zawartością popiołów i zabytków ruchomych (ceramika, krze-

siwka, groty, nożyki). Oceniał także, że ślady osadnictwa na wzgórzu zostały zniszczone przez późniejsze intensywne użytkowanie Góry Chełmskiej w średniowieczu. Na podstawie zebranego materiału, braku śladów osadnictwa mieszkalnego, położenia geograficznego, braku wody na obszarze całej Góry Chełmskiej, badacz ten postawił hipotezę, iż ślady osadnicze na Krzyżance należy wiązać przede wszystkim z istniejącym tu we wczesnym średniowieczu ośrodkiem kultu pogańskiego Pomorzan.

W 1974 roku wspomniany H. Janocha stwierdził, że we wczesnym średniowieczu na Krzyżance znajdowało się domostwo drewniane (odkryte w 1961 r.). Posiadało ono palenisko kamienne o średnicy ok. 40 centymetrów, a kolejne palenisko znajdowało się 14 metrów poza resztkami pierwszego domostwa. Prócz domostwa odkryto również siedem jam paleniskowych, które w układzie przestrzennym miały tendencję do kolistego otaczania szczytu Krzyżanki i znajdującego się tam domostwa. Wg badacza owe ślady domostwa z dwoma paleniskami stanowią resztki kąciny pogańskiej, funkcjonującej przynajmniej od połowy IX do końca XII wieku.

Wcześniej prof. Kowalenko przedstawił hipotezę, jakoby klasztor norbertanów w Białobokach mógł naśladować św. Ottona poprzez zbudowanie kaplicy na Górze Chełmskiej, tak jak on - chrystianizując Pomorze na początku XII wieku - zwykle zakładał kościoły w miejscach, gdzie dawniej znajdowały się kąciny pogańskie. Szczegółowe badania wykopaliskowe, mające na celu odsłonięcie fundamentów zabudowań sakralnych, przeprowadził w latach 1904-1905 koszaliński nauczyciel Paul Schultz. Odsłonięto wtedy mur fundamentu kaplicy, która zbudowana była na planie krzyża oraz fundamenty prostokątnej budowli w odległości 6 metrów w kierunku zachodnim od kaplicy. Według tego badacza (dokonał pierwszych prac archeologicznych na Krzyżance w 1906 roku), na jej szczycie miał się znajdować święty gaj, w którym Germanie składali mieli ofiary Wate. Natomiast Słowianie mieli wzniesić gontynę (zwaną też chramem) i odprawiać obrzędy. Istnienie kąciny podaje w wątpliwość Andrzej Kuczkowski, ponieważ mogłyby to być budowle pomocnicze w okręgach sakralnych lub budowle pełniące funkcję miejsca spotkań typu wiecowego.

Badania potwierdzają zbudowanie na przełomie XII i XIII wieku na Krzyżance

kaplicy pw. Najświętszej Marii Panny (w piśmiennictwie niemieckim: Die Marienka pelle auf dem Gollen). Źródła nie podają szczegółowej daty budowy, jednakże wiadomo ze wzmianek źródłowych, że przed lokacją wsi Koszalin (w 1266 roku), istniała na Górze Chełmskiej w 1263 kaplica z proboszczem, przedstawiana jako miejsce licznych pielgrzymek. Posiadała oświetloną w nocy wieżę, która zastępowała żeglarszom latarnię morską. W jej skład wchodził kościół i budynek pomocniczy, otoczony cmentarzem.



Fot. L. Szczepańska

W 1287 roku biskup kamieński Herman von Gleichen założył w Koszalinie żeński klasztor cysterek (reguły benedyktyńskiej) i oddał im w opiekę kaplicę na Krzyżance. W 1395 roku kaplica chrześcijańska uzyskała od biskupa Jana z Kamienia prawo udzielania odpustów. Sanktuarium przeznaczono głównie dla modlitwy pątników mających na sumieniu jeden z najcięższych grzechów - morderstwo. Prawo to zostaje potwierdzone wielokrotnie w latach: 1396, 1399, 1401, 1410 i 1427. Według danych źródłowych szczególne nasilenie pielgrzymek przypadło na lata 1414 - 1485. Zabudowa sakralna została zniszczona po reformacji. Tutaj, na cmentarzu przy sanktuarium maryjnym leży wielu pogrzebanych pątników, którzy sami dokonali wyboru miejsca swojego spoczynku. Od XII wieku do ok. 1530 roku kaplica na Krzyżance była miejscem kultu chrześcijańskiego i pielgrzymowania. Została zburzona i rozebrana w okresie 1532 - 1533, po wielkim pożarze w 1530 roku.

W latach 1959 - 1962 oraz 1986 - 1987 przeprowadzono badania archeologiczne na Krzyżance, podczas których odkryto relikty murów kaplicy z XIII wieku, kościoła z XV wieku i cmentarzisko wczesnośredniowieczne, co potwierdzają również udokumentowane źródła związane z kultem chrześcijańskim. W 2003 roku Departament Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury poinformował, że odkryte relikty archeologiczne w żaden sposób nie świadczą o religijnym charakterze Góry Chełmskiej przed

wprowadzeniem chrześcijaństwa na Pomorze Zachodnim.

Rowokół wyraźnie dominuje...

nad rozległą pradoliną Łupawy i Wybrzeżem Słowińskim oraz nad widocznymi brzegami największego jeziora na Pomorzu - Łebsko, w pobliżu Gardna w odległości sześć kilometrów od morza. Zajmuje szczególnie eksponowane miejsce z wielu względów. Jest najwyższą górą w okolicy, z której wierzchołek jest widoczna wysockiowa zabudowa Słupska. Przez Kaszubów - Słowińców jest uznawana za Świętą Górę. Interesujące jest też pochodzenie jej nazwy. Pierwsze zapisy nazwy Rowokół widnieją już na starych szwedzkich mapach morskich z 1695 roku (Reefcoll) i holenderskich z 1660 roku. Na mapach morskich z początku XX wieku administracji niemieckiej widniała nazwa Revekol.

Przyjmuje się najczęściej, że nazwa pochodzi z języka skandynawskiego i oznacza: (reve + kol) okrągły, kolisty szczyt, górę o określonym helmie. Staronordyckie słowo „kúla” oznacza „wzgórze” lub wyróżniające się wzniesienie zauważalne na pozostałej części równiny. Nazwę Rowokół wprowadzono urzędowo rozporządzeniem w 1949 roku, zastępując poprzednią niemiecką nazwę Revekol Berg. Dzisiaj góra ta znajduje się w strefie ochronnej Słowińskiego Parku Narodowego i jest bardzo dobrze widoczna z morza jako żeglarski



Fot. L. Szczepańska

punkt nawigacyjny, odnotowany na najstarszych mapach morskich tej części Bałtyku. Dzięki Kaszubom święta góra występuje w legendach, opowiadaniach i przekazach. Były one zbierane i spisywane dopiero w XIX wieku, a w średniowieczu została odnotowana jako miejsce kultu maryjnego i pielgrzymek. Z górą tą związane są liczne mity i legendy: zatopione dzwony, gorejące pieniądze, przerzucane głazy, skarb Bandedmerów - w większości zostały one przywiezione przez niemieckich osadników. U jej podnóża, około pół kilometra od wierz-

chołka leży wieś Smołdzino, a miejscowa parafia opiekuje się wzgórzem i postawionym krzyżem.

Na wierzchołku Rowokołu, na wale ziemnym - wtedy już mocno zniszczonym - od strony grodziska słowiańskiego w okresie od XII do XVI wieku mieściło się sanktuarium Najświętszej Marii Panny. Do dzisiaj pozostały po nim zagłębione w gruncie fundamenty budowli. Obecnie w okresie Wielkanocy odbywa się tu misterium ukrzyżowania Chrystusa, organizowane przez kościół w Smołdzinie i Domy Pomocy Społecznej z powiatu słupskiego.

Obecnie Góra Polanowska to jedyna na Pomorzu Sanktuarium z wybudowaną pustelnią. Szóstego czerwca 1999 roku papież Jan Paweł II poświęcił w Pelplinie kamień węgielny pod budowę pustelni na szczycie Świętej Góry, a 2004 roku wprowadził się tu pierwszy pustelnik o. Janusz Jędrzyk - franciszkanin, który podjął się wysiłku jej budowy. W czerwcu 2010 roku na Świętej Górze Polanowskiej złożono relikwie świętego Ottona z Bambergu, który chrystianizował Pomorze Zachodnie. Poświęcono ołtarz i kaplicę Matki Bożej Bramy Niebios, a przy drodze Polanowskiej - drewnianą rzeźbę - pomnik biskupa św. Ottona. Biskup kołobrzesko-koszaliński Edward Dajczak w swojej wypowiedzi akcentował: „...dzisiejszemu człowiekowi potrzebne są miejsca modlitwy, ciszy i skupienia; są to miejsca, w

Chełmska Góra posiada na szczycie zabytkową wieżę widokową z 1888 roku o wysokości 31,5 metra. Na niej znajduje się stacja nadawcza, która transmituje sygnał dwóch stacji radiowych. W bezpośrednim sąsiedztwie obecnej wieży widokowej znajdował się pomnik w formie krzyża zaprojektowany przez Karla Friedricha Schinkla upamiętniający żołnierzy poległych w wojnie napoleońskiej. Przedstawiał potężny krzyż osadzony na kamiennym cokole; został odsłonięty w 1829 roku. Budowla ta została jednak usunięta w końcu lat 60. XX wieku.

Na Krzyżance znajduje się kaplica z obrazem Matki Bożej Trzykróć Przedziwnej, poświęcona 1 czerwca 1991 roku przez papieża Jana Pawła II. Sanktuarium to pełni funkcję sanktuarium diecezjalnego, które nawiązuje do średniowiecznej tradycji kultu na Górze Chełmskiej. Kaplicą tą opiekuje się Ruch Szentszacki. Dwudziestego dziewiątego listopada 2005 roku przy wejściu do sanktuarium odsłonięto pomnik „Drogi do Wolności” poświęcony powstańcom listopadowym. Inicjatywa miała na celu upamiętnienia pobytu w Koszalinie polskich emigrantów po upadku Postania Listopadowego. Jest to głaz granitowy o wadze 10 ton. Na nim umieszczono krzyż, orła w koronie z okresu powstania, dwa herby Koszalina oraz plakietkę „Civitas Christiana”. Góra Chełmska i istniejące na niej sanktuarium diecezjalne jest miejscem corocznych pielgrzymek z całej diecezji kołobrzesko-koszalińskiej.

świątynia pogańska. Kaplica stała samotnie na szczycie otoczonym ziemnym, niewysokim wałem i fosą, które pozostały jako ślady dawnego osadnictwa. Była budowlą sakralną, być może w panującym wówczas stylu gotyckim. Obiekt był niewielki, stanowił prawdopodobnie typową, wiejską kapliczkę na rzucie prostokąta. Była posadowiona na fundamencie z głazów narzutowych, łatwo dostępnych i powszechnie stosowanych na Pomorzu. W fundamencie były one nieobrobione. Podział wewnętrzny kaplicy był zgodny z ówczesnymi zasadami - absyda, kruchta, krypta. Na podstawie odkrytego w czasie badań rumowiska można się domyślać, że kaplicę wzniesiono z cegieł. Mogła być wzmocniona przyporami ze względu na posadowienie w gruncie lekkim i mało nośnym. Można też przypuszczać, że posiadała dwuspadowy dach kryty glinianą dachówką, być może zwieńczony wieżyczką. Otwory okienne mogły być tylko na ścianie południowej ze względu na silne północne wiatry wiejące od morza.

Interesujące jest jak wyglądała jej wnętrze. Pierwsze informacje źródłowe o kaplicy na Rowokole pochodzą z XV wieku i odnoszą się do roku 1435 i 1483, kiedy to odbyły się do niej pielgrzymki pokutne. W dokumencie z 1483 roku wezwanie kaplicy określono: „ad beatam Mariam in Revel”. Nosiła zatem takie samo wezwanie jak pozostałe dwie kaplice pielgrzymkowe na świętych pomorskich górach. Pozostawała miejscem pielgrzymkowym do roku 1530, w charakterze tym funkcjonowała prawie sto lat. Potem została zniszczona, wnętrze rozgrabiono, a następnie spalono. Pozostały tylko mury, które definitywnie rozebrano w 1821 roku.

W 1998 roku z inicjatywy ks. prałata Jana Giritowicza z Parafii św. Jacka w Słupsku rozpoczęto coroczne pielgrzymki młodzieży szkolnej ze Słupska na Rowokół. Mają one charakter intencyjny, są organizowane w czerwcu z podziękowaniem za zakończony rok szkolny i otrzymane świadectwa, jednocześnie z prośbą o miłe wakacje letnie. Pielgrzymki prowadzi autor, który na przystankach opowiada o osobliwościach przyrodniczych i dziejach regionu.

Społeczność lokalna, a także mieszkańcy Słupska chcieliby, aby kaplica na Rowokole została odbudowana w dawnym jej miejscu. Działalność religijną trzech Świętych Gór na Pomorzu trzeba nie tylko kultywować, ale należy wkomponować także w rewitalizowany ostatnio szlak Drogi Świętego Jakuba, przypominając jednocześnie o jego historycznym znaczeniu.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



których Bóg jest niemal dotykany. Takim miejscem jest Święta Góra Polanowska”. Wybranie tej góry na złożenie relikwii św. Ottona nie jest przypadkowe. W XII wieku z jego inicjatywy powstała tu kaplica pod wezwaniem Maryi. Obecnie na górze istnieje pustelnia franciszkańska zaprojektowana w stylu pomorskim i oparta na wzornictwie budownictwa kaszubskiego, która przyjmuje coroczne pielgrzymki z Koszalina i ze Słupska. Wybija tu źródło wody o smakowych zaletach, które zasila pustelnię.

W projekcie zagospodarowania góry Rowokół najważniejsze jest obecnie podjęcie starań dotyczących odtworzenia na niej dawnej kaplicy. Pierwotnie istniała tam prawdopodobnie w XIV i XV wieku. Jej przybliżony opis można zrekonstruować na podstawie wyników badań prowadzonych w latach 60. i 70. ubiegłego stulecia. Była pierwszą budowlą na szczycie Rowokołu. Badania nie wykazały, aby wcześniej były tam inne budowle drewniane lub murowane. Tym samym wyklucza się prawdopodobieństwo, by na szczycie góry istniała

We wrześniu 1934 roku z pochylni brytyjskiej stoczni Swan, Hunter i Wigham-Richardson w Wallsend spłynął na wodę lekki krążownik zmodyfikowanego typu „Leander”. Miał się nazywać „Phaeton” i służyć pod znakami Royal Navy, ale ostatecznie prawie 7000-tonowy, uzbrojony w osiem dział sześciocalowych okręt otrzymał nazwę „Sydney” i trafił do Królewskiej Australijskiej Marynarki Wojennej. Służbę rozpoczął pod koniec września 1935 roku, przejmując tradycję poprzedniego „Sydneya”, który w 1914 roku dopadł i zniszczył niemiecki lekki krążownik „Emden”.

Wzorem słynnego poprzednika, załoga nowego „Sydneya” również zapisała na swoim koncie jeden wrogi lekki krążownik - włoski „Bartolomeo Colleoni”, zniszczony w lipcu 1940 roku w bitwie koło przylądka Spada. W listopadzie 1941 roku dotąd szczęśliwa i owocna służba „Sydneya” dobiegła niespodziewanie kresu za sprawą tzw. „krążownika pomocniczego” Kriegsmarine o nazwie „Kormoran” (kmdr ppor. Anton T. H. Detmers) - ósmego z dziewięciu zamaskowanych okrętów korsarskich, które w latach 1940-1943, kierowane bez-

Obcy „statek” nagle bluznął ogniem artyleryjskim ze wszystkich zdatnych do użytku luf na swoim pokładzie, kompletnie zaskakując tym przeciwnika

Najcenniejszy łup rajdera

handlowy. Rutynowo zapytany o nazwę, „statek” podał w odpowiedzi holenderską nazwę „Straat Malakka”. Na kolejne pytania od krążownika „frachtowiec” unikał podawania ścisłych odpowiedzi, a w końcu, gdy przedłużanie zabawy stało się niemożliwe wobec dociekliwości dowództwa indagującego „australijczyka” - obcy „sta-

pochłonać. Na samym początku starcia Niemcom udało się trafić „australijczyka” torpedą (!) na wysokości jego dziobowych wież, co unieruchomiło połowę artylerii głównej „Sydneya”. Ze swej strony marynarze australijscy wystrzelili do „niemca” aż cztery torpedy, nie uzyskując ani jednego trafienia.

Rozbitkowie z „Kormorana” zostali dowiezieni do Australii. Tam zostali wielokrotnie przesłuchani przez Australijczyków. Zeznali, że gdy ostatni raz widzieli HMAS „Sydney” - obezwładniony i płonący okręt, z dużym przechylem na dziób, oddalał się wolno z miejsca bitwy. Zdaniem niektórych z Niemców, spowity dymem krążownik w pewnym momencie rozbił się ogniem, jak gdyby nastąpiła na nim wielka eksplozja. Cała 645-osobowa załoga australijskiego okrętu poległa wraz z nim. Kilka miesięcy później, w marcu 1942 roku na wodach Dalekiego Wschodu dopełnił się los bliźniaczego „Pertha”, weterana klęski na Morzu Jawajskim w lutym 1942 roku, który zatonął po zażartej walce z dwoma ciężkimi krążownikami spod znaku Wschodzącego Słońca, zabierając ze sobą wspaniałego dowódcę - kmdr. H. M. L. Wallera - i większość załogi.

Niemcy z „Kormorana” pozostali do końca wojny w Australii, internowani przez tamtejsze władze. Wrak „Sydneya” - jedyne duże okrętu wojennego, jaki podczas II wojny światowej padł łupem pomocniczego krążownika! - został odnaleziony dopiero w marcu roku 2008. O tym, że Pani Fortuna bywa podczas wojny kapryśna - przekonali się także Niemcy, gdy niespełna rok później, pod koniec września 1942 roku na Atlantyku silnie uzbrojony krążownik pomocniczy Kriegsmarine „Stier”, dowodzony przez kmdr. H. Gerlacha, zginął w pojedynku z amerykańskim frachtowcem „Stephen Hopkins” (typu EC-2-S, tzw. „Liberty”) uzbrojonym w zaledwie jedno czterocalowe działo.

Wojciech M. Wachniewski
Słupsk



pośrednio przez niemieckie Kierownictwo Wojny Morskiej, ze zmiennym szczęściem polowały na morzach i oceanach świata na alianckie statki handlowe.

Dziewiętnastego listopada 1941 roku HMAS „Sydney”, dowodzony przez kmdr. J. Burnetta, literalnie przepadł bez śladu i wieści na długie lata. Co działo się na jego pokładzie, możemy jedynie przypuszczać.

Krążownik płynął zapewne wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża Australii na południe, wracając po wykonaniu zadania bojowego z okolic Jawy na wody macierzyste. Prawdopodobnie około godziny 16.00 czasu lokalnego, w odległości jakichś stu trzydziestu mil morskich na zachód od Shark Bay, obserwatorzy na „australijczyku” dostrzegli z pozoru zwykły statek

tek” nagle bluznął ogniem artyleryjskim ze wszystkich zdatnych do użytku luf na swoim pokładzie, kompletnie zaskakując tym przeciwnika. Jak podał później ocalały dowódca „korsarza”, kmdr ppor. Detmers - obie jednostki były wtedy oddalone od siebie o nieco ponad milę, to jest około dwa tysiące metrów.

Pierwsza salwa „niemca”, który w momencie otwarcia ognia podniósł (zamiast handlowej holenderskiej) niemiecką banderę wojenną, zmasakrowała pomost bojowy „Sydneya” i praktycznie pozbawiła krążownik dowództwa. Odpowiedź Australijczyków była błyskawiczna i celna: 6-calowe pociski z dział obu wież rufowych wzniciły w maszynowni „niemca” pożar, który ostatecznie miał go

PODKUWANIE KONI W STADNINIE ARTURA KIEMPY

REDZIKOWO W GMINIE SŁUPSK



